



Pobudka

T Y G O D N I K

ROK II

Łódź, dnia 27 października 1946 r.

Nr 42 (56)

Człowiek - Symbol

W półwiekowej przeszłości historii Polskiej Partii Socjalistycznej, w historii najdumniejszej, w historii jedynej — obok kart walki i czynu mamy Ludzi.

Mamy takich jak: Okrzeja, Dzierżbic-ki, Baron, Montwiłł... mamy takich jak: Limanowski i Perl... takich, jak: Niedziałkowski, Próchnik, Barlicki, Dubois... Ludzi — nie sztandarowych, a ludzi — Sztandary! Takich, którzy dla zawała naszych, dla Niepodległej Polski i Socjalizmu potrafili swe życie rzucić na szalę i takich, którzy dla tych dwóch spraw przez całe swe życie potrafili pracować i walczyć.

W tej długiej a wspa-niającej liście — wypisane jest wielkimi zgłoskami nazwisko IGNACEGO DĄSZYŃSKIEGO. Wódza i trybuna ludu. To-warzysz, który był i pozo-stał dla nas symbolem.

W latach niewoli jesz-cze smagał swym odważ-nym słowem burżuazję pol-ską i austriacką, ciał słowem bezlitosnym z trybu-ny parlamentarnej, z mów-nie na wiecach i robotni-czych zgromadzeniach i ze szpałt „Naprzodu”.

Obnażał całe zakłamanie, niesprawiedliwość i fałsz ówczesnych stosunków, a równocześnie budził pol-ski lud pracujący do walki o jego słuszne prawa, o wolność i spra-wiedliwość społeczną i o Niepodległą, Wolną Polskę.

A kiedy wywalczona została ta Pol-ska, w Manifestie Lubelskim, słowami Daszyńskiego ogłosił pierwszy Rząd Lu-dowy polskim masom pracującym te

prawdy, do których te masy tęskniły i o które walczyły.

Wydarta jednak została władza z rąk ludu.

Nie zostały zrealizowane założenia Manifestu Lubelskiego. I odtąd aż do

darm austriacki, nie zламаł Go też poli-cyjny system piłsudczyzny. Kiedy doszło do pamiętnych zajęć w dniu 28 marca 1928 roku, kiedy przyszedł dzień 31 pa-ździernika tegoż roku — potrafił Da-szyński powiedzieć: nie!

Pozostał do końca nie-złomnym. Pozostał do koń-ca Symbolem — Symbo-lem nieugiętej wal-ki o najwspanialsze dążenia ludu pra-cującego.

I kiedy dziś — w dziesią-tą rocznicę Jego śmierci wspominać będziemy Jego walkę i pracę, z dumą bę-dziemy mogli powiedzieć, że to, o co walczył, do-pelnia się dziś!

Ze walkę Jego jak testa-ment najświętszy, podjęły polskie masy pracujące i dziś dopełnia się jeden z odcinków tej walki.

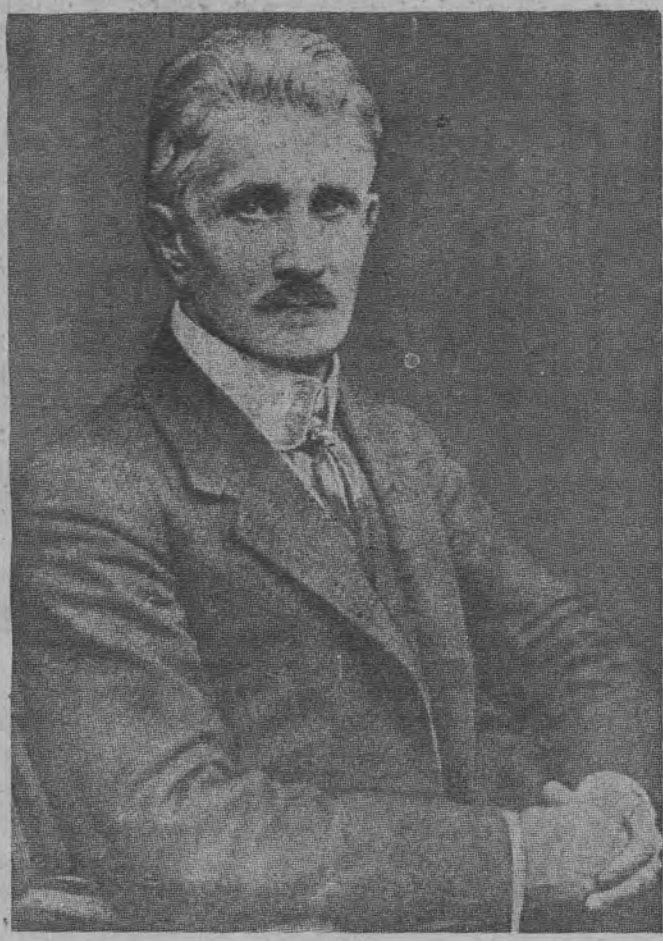
Lud polski jest dziś włodarzem na-szej wolnej Ojczy-zny. A sztandary Polskiej Partii Socjalistycznej, które on tak mocno ukochał i pod którymi walczył, tak samo dumnie prowadzą lud polski do dalszych zwy-cięstw są tak samo czerw-one i te same zawo-lania — Niepodle-głości i Socjalizmu są na nich dziś — tak, jak

w latach, kiedy sztandar ten niósł On przed nami.

I że sztandary te chylą się dziś przed Jego cieniem...

Przed człowiekiem — Sztandarem... I Symbolem!

J.



końca swego życia stał towarzysz Da-szyński na czele tych, którzy o realiza-cję tych słusznych żądań walczyli.

Słowa, które wygłaszał z trybuny sej-mowej, szły na cały kraj i mobilizowa-ły do walki o lepsze dni. I nie potra-fiło go złamać nic. Nie zламаł Go żan-

S Ł O W O D O

Kiedy towarzyszył Daszyński wybrany został w r. 1928 Marszałkiem Sejmu R.P. i kiedy swą postawą zadokumentował raz jeszcze, że nie da się ani zastraszyć, ani nie zezwoli na to, by Sejm stał się widowiskiem wybrków ludzi z pilsudczykowskiej kliki — rozpoczęło generalny atak na tego wielkiego Człowieka. Daszyński długo ataki te znosił. Wreszcie — odpowiedział.

Poniżej drukujemy tę właśnie odpowiedź, zamieszczoną dnia 3 czerwca 1930 r. w „Robotniku”, odpowiedź — która jest równocześnie oskarżeniem. Oskarżeniem systemu i atmosfery, jaką obóz pilsudczyzny wprowadzał do polskiego życia. (red).

W „Gazecie Polskiej” z 1-go czerwca 1930 r. znajduje się dziś artykuł pt. „Ignacy Daszyński i jego cień”. Niepodpisany autor, a więc redakcja, zarzuca mi, że w marcu 1928 roku dałem się wybrać Marszałkiem Sejmu wbrew woli Marszałka Piłsudskiego. Ten mój „grzech pierworodny” doprowadził mnie do obrony praw Sejmu wraz z p. Trąpczyńskim i tow. Libermanem. Straciłem przyjaźń Piłsudskiego, a teraz idę w „ogonie” Trąpczyńskiego i Libermana. Pomimo wielu komplementów pod moim adresem za prawdy, które mówiłem w mych książkach, autor twierdzi, że nie zdawałem sobie sprawy z mojego własnego postępowania i teraz pod „zachód życia” jestem smutnym i rozgoryczonym niewolnikiem moich „wodzów”, pp. Trąpczyńskiego i Libermana. Nie skąpi autor pod moim adresem szyderstwa, zrozumiałego w ustach „valetaible”, jak Francuz nazywa rozpróżnionych pasożytów przedpokojów.

Czy ten pan chciał napisać, czy „waleć” prasowy z własnej pilności napisał? — nie wiem.

Czy to ma być równoległa zemsta za stanowisko prasy wobec p. Prezydenta R. P.? — także nie wiem.

Nie odpowiadalem „Gazecie Polskiej” za niezliczone jej zniewagi pod moim adresem. Wiem, że rasa zapłaconych „zapłutych karłów” nie wygasa i że polemika jest ich żerem. Ale i to wiem, że trzeba kłamstwo tępić, że trzeba Polaków informować szczegółowo o systemie dzisiejszych rządów i dlatego piszę ten artykuł.

Na jakiś tydzień przed zebraniem się nowo wybranego Sejmu, przysłał do mnie p. Sławek z cukierni „Ziemiańskiej” jednego z posłów, odradzając mi kandydowanie na Marszałka Sejmu, bo Piłsudski każdego Marszałka, któryby zwyciężył jego kandydata p. dr. Bartła, będzie źle traktował i przesładował. A niechciałby być zmuszony postępować tak ze mną. Odpowiedziałem, że sprawa nie jest jeszcze aktualna — i wysłannik odszedł. Niegodna forma i niegodna treść intryganckiej propozycji sama siebie osądza.

Dnia 27 marca 1928 r. zjawił się szef Rządu Marszałek Piłsudski w Izbie i tu rozegrały się ohydne wypadki, których opisywać nie potrzebuje. Po nich przyszło głosowanie. Zostałem wybrany Marszałkiem przeciwko p. Bartłowi. Narodowi demokraci i komuniści utrzymali do końca swoich kandydatów.

Jakże się zachował mój kontrkandydat p. dr. Bartel? Przyszedł do mnie na trzeci dzień, uściślał mi, gratulował, mówił, że go wybrał z ciężkiego położenia, proponował kredyty na sprawienie mebli w mieszkaniu sejmowym Marszałka (była tam bowiem pustka i pożyczone z Zamku graty) i nastawał, żebym do Krakowa na świętajechał „salonką” (a nie — jak chciałem — w zwykłym przedziale) — dla nieobniżania powagi urzędu. P. dr. Bartel był wtedy wicepremierem, prawą ręką Marszałka Piłsudskiego.

Nie byłem karierowiczem w życiu, mam, owszem, silnie rozwinięty nalg „psucia sobie kariery”. Nie chciałem w swoim czasie zostać premierem, ani potem wicepremierem, oparłem się radzie Belwederu, aby nie opuszczać gabinetu p. Witosa i nie podałem się w roku 1921 do dymisji, nie zabiegałem też ani o jeden głos na Marszałka Sejmu.

Od programu zasadniczego, państwowego, koniecznego: uczciwej współpracy Rządu z Sejmem nigdy

nie odstąpiłem i nie odstąpię.

Prawda, że nie byłem wtajemniczony w intrygi, które mi zagroziły już trzeciego dnia mej pracy w nowym Sejmie. Prawda, że nie rozumiałem subtelnych intrygantów w eleganckich mundurach, którzy omal nie obdarli mnie z honoru osobistego. Przypadek tylko uratował mnie od tego. Kiedym potem pytał p. dr. Bartła, co mam robić wobec tych elegantów, poradził mi, abym ich odsyłał do niego.

Sejm, któremu mam zaszczyt przewodzić, uchwalił swój pierwszy budżet w ciągu dwu miesięcy. Różnica przez Sejm uchwalonego a przez Rząd projektowanego budżetu była minimalna. Ustawę inwestycyjną uchwalił Sejm i Senat w ciągu czterech dni. Zdawało się, że mój program urzeczywistnia się. Tymczasem nagle Senat dostał rozkaz uchwalenia budżetu bez zmian, natychmiast, aby Rząd mógł zamknąć sesję ciał ustawodawczych. Dwóch ministrów oblegało mnie, aby ich pilne projekty ustaw wziąć na pełną Izbę, a szef Rządu kazał tymczasem jak najrychlej sesję zamknąć. Dnia 22 czerwca zamknięto ją. Kiedym, zdumiony tym wszystkim, pytał, dlaczego tak postąpiono, otrzymałem informacje o zamiarach Rządu wyrażonych tak brutalnymi słowami szefa Rządu, że — nawet w epoce dzisiejszego zdżirzenia słowa, nie chcę ich tu powtórzyć. Chodziło o to, aby ministrowie nie zbliżyli się do stronnictw sejmowych i do pracy Sejmu, aby tej pracy nie było.

Dnia 1 lipca 1928 r. ukazał się artykuł Marszałka Piłsudskiego o jego chęci „bicia i kopania” posłów, o „podrzutkach” itd. Tegoż dnia ustąpił Marszałek Piłsudski z prezesury Rady Ministrów.

Nie mam zamiaru omawiać „zamkniętych aktów” tego artykułu ani późniejszej mowy o „wesołych budżetach”, ani

... W gruzy wała się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących.

Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy.

I nie zaświta lepsza dola nad narodem polskim, jeżeli rdzeń i ołbrzymia jego większość — lud pracujący nie ujmie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego.

(Manifest Rządu Ludowego)

PPS — czuwa! PPS — walczy!

„WALETÓW“

listu o „dnie oka”. Nie powtórzę też argumentów mojego listu z wiosny 1929 roku do p. dr. Bartla. Przez cały ten czas ataków zachowałem spokój, chociaż obelgi padały coraz to brutalniejsze. Przebieg i akty tej sprawy zamknięte; społeczeństwo aż nadto dobrze o nich poinformowane.

W czerwcu 1929 r. wpadł do mnie do biura p. Marszałek Senatu dr. Szymański i zaczął biadać nad tym, co się w Polsce dzieje. W rozmowie rzucił zdanie, że ja jeden mogę i powinienem mówić z Marszałkiem Piłsudskim. Odpowiedziałem, że po tych jego pismach wątpię, czy mnie przyjmie. P. Szymański pojechał do Sulejówki i po rozmowie z Marszałkiem Piłsudskim powiedział mi, że Marszałek Piłsudski gotów mnie przyjąć. Musiałem więc napisać list z zapytaniem, kiedy mogę złożyć wizytę.

W Belwederze zwróciłem uwagę M. Piłsudskiego na dwie główne sprawy: Pierwsza: na początki kryzysu. Druga: na konieczność stworzenia większości w Sejmie, aby Sejm wraz z Rządem mógł kryzys przeetrwać bez katastrofy.

Czy miałem wtedy rację? Czy radziłem dobrze?—niechaj o tym sędzi społeczeństwo, które ugina się pod brzemieniem kryzysu i żyje na „hocki-klocki” konstytucyjne, igrające sobie wśród morza nędzy ludzkiej.

W rozmowie w Belwederze padły wtedy słowa, od których mi się nieswojo zrobiło. Usłyszałem tam:

„Nie dawałem pracować wszystkim trzem Sejmom...”

Po moim ostrzeżeniu p. premier Świątalski pojechał rządowym autem na wakacje do Biarritz, wódz B. B. p. Sławek także do Biarritz, a ja zostałem w parę miesięcy potem zbesztany i wyszydzony w artykule pt. „Gasnącemu światu”. Przepowiednie p. Sławka spełniały się coraz dokładniej... Zemstą rozkoszowano się na zimno. Zniosłem to. Ale kiedy mi dwie hamletowskie postacie: „Guldenstern” i „Rozenkranc” zapowiedziały dnia 31 października w Sejmie, że w przedśionku Sejmu stu oficerów jest niezadowolonych ze mnie i z moich urzędników i kiedy przyszedł do mego biura p. Marszałek Piłsudski,

abym otworzył posiedzenie Sejmu, oparłem się stanowczo.

Za to mnie p. Marszałek Piłsudski i dwie postacie „świadków” nazwali „durniem”.

Odpowiedzi mojej dzieciom swoim chyba nie przekażę.

O szkodach wciągania armii do polityki nie myślę tu mówić. O tym temacie jeszcze Polska będzie, niestety, musiała mówić obszernie i to w ciężkich warunkach.

Tyle na razie o moim „grzechu pierworodnym”.

Prześladują mnie władcy systemu, lżą, rzucają moje uczciwe nazwisko na łup „valetaille” gadzinowych, starają się zatruć mi życie, jak umieją. Znosiłem w życiu i przed tym takie nikczemności. Życie to było walką i nikogo o pardon nie prosiłem.

A teraz uwaga o p. Trąpczyńskim i tow. Libermanie.

Nikt Narodowej Demokracji tak silną, tak zwartą nie zrobił, jak system „pomajowy”.

Groząc „sub rosa” zabiciem siedemdziesięciokilkuletniego b. Marszałka Sejmu, potem Senatu, p. Trąpczyńskiego, zrobiono go w szerokich kołach słuszenie popularnym człowiekiem. Narodowi demokraci odrabiają swoją majową klęskę. Weszli nie tylko do szeregów „pomajowych”, stworzyli liczną „czwartą brygadę”, ale nadto opanowali całą nieomal młodzież szkół średnich i wyższych i gdyby przy najbliższych wyborach nie oszukiwano i nie przekupywano, zdobędą prawdopodobnie więcej mandatów, niż ich mają obecnie. Dzielniejsi z nich dziękują z pewnością w duszy za narzuconą sobie walkę.

A poseł Liberman?

Ten znakomity obrońca legionistów, więzionych przez żoldactwo austro-węgierskie w Huszt i Marmarosze Sziget, któremu legionisci serdeczną wdzięczność zawsze okazywali, powinien być dzisiaj w organie rzekomych legionistów traktowany oględniej.

Ludu Polski! Polski Chłope i Robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi — to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polski.

(Manifest Rządu Ludowego)

Groząc mu obiciem za jego mowy w procesie o zabranych osiem milionów z kasy państwowej na wybory BB., podkreślili „waleci” tylko jego odwagę cywilną w oczach uczciwych ludzi i ograbionych obywateli. A wrzask o proces Ulitzę? Sąd polski go uniewinnił, ale adwokat Liberman „nie miał prawa” bronić niewinnego.

Poseł Liberman jest podpułkownikiem Legionów.

„Waleci” mówią, że nie był „bojowym” oficerem. Ale czyż może to mówić organ p. majora Świątalskiego, p. podpułkownika Prystora lub choćby pułkownika Miedzińskiego ze służby II Oddziału? Wolne żarty!

Wreszcie rzecz może najważniejsza. Tow. Liberman jest doskonałym znawcą „jurspredencji” p. ministra sprawiedliwości w Polsce. Jest to wartość dla uczciwych obywateli czasami wprost nieoceniona.

W końcu kilka słów o „zachodzie życia”.

„Walec” z „Gazety” przypomina mi kilkakrotnie mój wiek, nazywając go poetycznie „zachodem życia”. Ale i jego Pan chyba nie w „wiosnie życia” się znajduje. Ma o jeden rok mniej odemnie... Jego „zachód” nie bardzo chyba pogodny, skoro pisze od dwóch lat rzeczy, które zdolne są do wywołania w Europie komentarzy najbardziej oryginalnych.

Więc „waleci” z „Gazety Polskiej” nie cieszą się zbyt „zachodem życia”!

Nie wiem jak długo żyć mi wypadnie, ale dopóki będę żył, będę siekł z ramienia (jak mówi Żeromski) oszustów i gwałcicieli wyborczych, karierowiczów, pasożytów, „waleców”, co się dorwali do pieniędzy państwowych, do władzy, do wpływów w służbie jednego człowieka, choćby ze szkodą, ze zubożeniem, z rozpaczą ogromnej większości pracującego ludu w Polsce.

PPS — zwycięży!

Ignacy Daszyński

polityk, mówca, dziennikarz

Ignacego Daszyńskiego poznałem w r. 1896 w Krakowie. Z rozgłosu znałem go już dawniej — był przecież moim „krajanem”, jako że obaj urodziliśmy się w Zbarażu.

Latem 1896 — to były pierwsze przygotowania do odbyć się mających za kilka miesięcy wyborów z V kurii do parlamentu wiedeńskiego. W owym czasie Daszyński nie miał jeszcze potrzebnych do kandydowania 30 lat, ale właśnie tych kilka miesięcy do października 1896 pozwoliły mu dociągnąć do tego wieku.

Gdy go poznałem, był to na pozór młody, bardzo wysoki i bardzo chudy człowiek o bujnej, ciemnej czuprynie i — wedle ówczesnej mody — dość dużym wąsie. Ale już na pierwszy rzut oka, zanim nawet zaczął mówić, odczuwało się intuicyjnie, że to jest „ktoś”, że to nie pierwszy lepszy — jak ich wówczas z lekceważeniem nazywano — agitator. Już samo jego zachowanie się wobec ludzi „najbliższych mu ideałami i pracą, wskazywało na wybitną indywidualność, z którą — nawet w kawiarni „Kijaka”, do której wtedy uczęszczało się — nie można było jak z innymi być za „pan brat”. Miał w sobie coś, co imponowało i to coś rosło z latami, w których później miałem sposobność bliżej z nim się zetknąć.

Gdy w marcu 1897 Daszyński olbrzymią większością głosów został wybrany posłem ziemi krakowskiej, z miasta i powiatu, zaczął w kołach znajomych zastanawiać się, jaka będzie jego rola w parlamencie. A dużo od tego zależało, gdyż był on jedynym reprezentatywnym posłem socjalistycznym z Galicji, obok Kozakiewicza (wybranego we Lwowie). Znano przecież Daszyńskiego już przed jego karierą parlamentarną jako wielkiego mówcę, ale co innego przemawiać po polsku w ujeżdżalni krakowskiej, a co innego po niemiecku w palacu na wiedeńskiej Ringstrasse. Daszyński jednak i na tym posterunku z miejsca dowiódł, że jest „kimś”.

Istnieje książeczka dziennikarza wiedeńskiego Leostera pod tytułem: „Das hohe Haus” („Wysoka Izba”), w której autor w rymowanym tekście podaje charakterystykę wybitnych posłów na fle karykatur Sichul’-li-go. W galerii tej nie brak też Daszyńskiego: wysoki, chudy, z charakterystycznymi swymi rękami i rozwidrzoną czupryną, gdy pierwszy raz w Izbie zabiera głos w obronie więzionego posła chłopskiego Tomasza Szajera. Od razu — pisze Leoster — poznać było można, że to nie pierwszy lepszy wśród pół setki posłów, ale człowiek, acz młody, wybitny itd.

Takim też był Daszyński przez tych 21 lat, w ciągu których zasiadał w parlamencie wiedeńskim (1897—1918) z kilkumiesięczną przerwą w r. 1907, gdy mu w Krakowie ukradziono mandat.

A stał się wybitnym, znanym, przez jednych uwielbiany a przez innych uważany za diabła, za bicz boży itd. nie tylko wskutek wrodzonego daru wymowy, ale na podstawie ciężkiej pracy, jaką dokonywał na sobie samym dla godnego i pożytecznego wypełnienia swego zadania. Nie zdradzę znanego jego otoczeniu faktu, że do każdej mowy parlamentarnej przygotowywał się długo i pilnie, przesiadując w bibliotece parlamentarnej, podczas gdy swe mowy „wiecowe” przeważnie improwizował. Nie zauważyłem ani razu, aby Daszyński posługiwał się podczas przemówień jakimś zapiskami, do których przecież zaglądają wszyscy mówcy.

Mówi wspaniale, a dla słuchaczy, przeważnie robotników, zrozumiale.

Daszyński mówił porywająco, a zawsze rzeczowo i logicznie. Jak nas uczył w redakcji, żeby nie używać obcych wyrazów, tak w swych mowach używał czystego, pięknego języka polskiego, nie pacyząc go cytataми w obcych językach — bił to z zasady, mimo, że przecież dobrze znał kilka obcych języków. To też każda zapowiedź zgromadzenia ludowego, na którym miał przemawiać Daszyński, była dla robotników krakowskich świętem.

W październiku 1904 wstąpiłem — na zaproszenie Haeckera — do redakcji „Naprzodu”. Zostałem tam Daszyńskiego na stanowisku, które zajmował w redakcji od r. 1895; z ustawy był wydawcą, a z faktu głową i duszą pisma. Nie w tym sensie, żeby specjalnie zajmował się redakcją — na to nie miał czasu, przesiadując po sześć i więcej

miesięcy w roku w Wiedniu. Wystarczył jednak sam fakt, że Daszyński figurował na gazecie, że Kraków, że cały kraj wiedział, że „Naprzód” to organ Daszyńskiego. O ile był w Krakowie i o ile nie był oblegany przez rozmaitych petentów, — pisał dla „Naprzodu” artykuły wstępny, zawsze krótki: 80 do 100 wierszy, ale jak pisany! On przecież był twórcą i najlepszym wyrazicielem „stylu naprzodowego”, który tak podobał się zwolennikom, a tyle krwi napsuł przeciwnikom!

W redakcji Daszyński miał swój gabinet, w którym przyjmował najrozmaitszych ludzi, od dygnitarzy poczynając a na wariatach kończąc.

Z współpracownikami Daszyński był zawsze na najlepszej stopie. Nigdy nikomu nie urządził scen za zdarzające się czasem „gaffy”, co miał powiedzieć, mówił w cztery oczy, nie raniąc i nie zniechęcając. Wskazówek, co i jak pisać, nigdy, przynajmniej mnie w ciągu 10 lat wspólnej pracy, nie dawał. Najwyżej w czasie pogadanki, rzucił pytanie, czy nie należałoby napisać o tym, czy owym i wówczas zwracał się do jednego z zespołu ze słowami: „Wy to najlepiej potraficie”.

W sierpniu 1914 Daszyński opuścił redakcję „Naprzodu”, aby objąć funkcję wiceprezesa NKN. Od tego czasu, do listopada 1918, stosunki jego z redakcją były luźne, aby po wyborach do Sejmu w lutym 1919 i po przeniesieniu się do Warszawy zupełnie się urwać. W Warszawie, zapracowany w Sejmie i w partii, pamiętał jednak zawsze, że był dziennikarzem i zawsze, o ile spotykał się z kimś z „Naprzodu”, mówił o nim z rozrzewieniem, nie szczędząc dobrych rad. To był nie tylko dobry geniusz pisma, ale jego słonce i powietrze.

Leon Feldman.

...Któregoś dnia dowiedziałem się, że Daszyński przyjeżdża do Lwowa, że będzie przemawiał na zgromadzeniu ludowym. Na szereg dni przed tym mówiono o tym zgromadzeniu, jako o wielkim wydarzeniu. Widziałem w moim życiu wiele przygotowań do wieców. Nie widziałem nigdy, aby tak oczekiwano zgromadzenia, aby taką przywiązywano do niego wagę. Nie darowałoby sobie, gdyby na nim być nie mogli. I ja bym sobie tego nie darował. Wyprosiłem sobie prawo wstępu i znalazłem się pełen wzruszenia w wielkiej natłoczonej do ostatecznej możliwości sali. Panowała na niej gorąca atmosfera. Głowa o głowę, plecy o plecy oparci ścili robotnicy wpatrzni w trybunę. Za chwilę ukazał się na niej. Burza

oklasków, a potem cisza niebywała: Na salę popłynęły słowa i gesty wielkiego mówcy. Nie wierzyłem sobie, że jest to ten sam Daszyński, którego znałem i widywałem. Z wyprostowanej, chudej postaci biła na tej trybunie jakaś imponująca siła. Głos silny, spokojny, zdecydowany, o wspaniałej skali tonów, wywoływał niezatarte wrażenie i gdzieś głęboko zapadał w duszę. Odwaga myśli, nieprzeparta logika rozumowania, niezachwiana wiara w swą słuszność przemawiała do serca i umysłu. A nade wszystko porywał temperament. Chyba dla tego człowieka został stworzony termin: trybun ludu.

„Ze wspomnień mojego pokolenia”
Adam Próchnik

Ignacemu Daszyńskiemu

Towarzyszu Daszyński!
Nas tu tysiąc. Zdradź sekret!
Podnieś głowę; zapomnisz siwych włosów na głowie.
Czas nas łączy i dzieli — więc uśmiechem czas przekreśl
I nam, młodym tysiącom, odpowiedz

Jakżeś serce uzbroidł,
w jaką moc i skąd wziętą,
żeś nie ugiął się w boju
tyle dni, tyle lat.
Żeś w upadku tym wyżej,
niósł idee, jak świętość —
jakżeś umiał iść pierwszy
i na skałę
kuć ślad.

I coś zyskał.
Płaszcz chwały, grubo władzą podszyty?
Sto pomników? Buławę? Urząd?
Wiemy; nikt nie zapłaci
chmury, ogniem spowitej,
kiedy idzie świat wstrząsnąć burzą.

Wiemy; karku nie zgina dumna praca dla sprawy,
taka prosta i taka niezwykła.
Prawda, klejnot szkarłatny, nie wymaga oprawy —
wolnej piersi w szlify nie uwikła!

Z Twoich pragnień serdecznych i z Twej walki niezłomnej
my rośniemy, rozwijamy front.
W mocnych sercach wyrzute, już się nie da zapomnieć
Twoje imię — iskra na lont.

I my jedni sowitej nie cofniemy zapłaty.
Przejmujemy cel i myśl.
Z krwi czerwonej dni nasze jak sztandary, jak kwiaty —
dni zwycięskie rozkwitają
już dziś!

Edward Szymański

Praca i walka tow. Daszyńskiego to ucieleśnienie historii polskiej klasy pracującej w latach 1890–1936.

Towarzyszy Daszyński urodził się w historycznym Zbarażu. Od lat wczesnej młodości w organizacjach młodzieżowych zaprawiał się przyszły wódz proletariatu do swej wielkiej roli. Nie zlały go represje, nie odstraszyło więzienie. Nje było takiej przeszkody, którejby nie zmógł płomienny entuzjazm i żelazna wola zwycięstwa wielkiego woźdźdża i natchnionego trybuna.

Na wszystkich odcinkach życia robotników polskich, wszędzie tam, gdzie rozgrywała się walka o wolność, rozwijał swą wyjątkową działalność Ignacy Daszyński.

Najściślej związany był Daszyński z byłym zaborem austriackim. Z trybuny słynnej Ujeżdźalni krakowskiej, wśród nieopisanego entuzjazmu zgromadzonych słuchaczy wygłaszał „czerwony Ignac” swe wspaniałe przemówienia. A każde Jego słowo padało głęboko w robotnicze serca, każde Jego słowo budziło

do walki, dawało wiarę w zwycięstwo. Słowem żywym i pisanym budził Daszyński świadomość polskiego ludu. W Berlinie wydawał „Gazetę Robotniczą”. Jego to artykuły zagrzewały do walki ze szpalt „Naprzodu” i wielu innych wydawnictw Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

A w ślad za tą działalnością szła wyjątkowa praca organizacyjna. On to tworzył pierwsze zręby PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Jego pracy i Jego energii zawdzięcza w dużej mierze swe powstanie i rozwój nasza wielka partja socjalistyczna. Tworzył ją w walce, w nieustannym zmaganiu przez zwyciężał apatię i kształtował politycznie masy robotnicze. Ogromną rolę odegrała tu kampania Ignacego Daszyńskiego o demokratyzację prawa, swobodne i powszechne wybory do sejmu galicyjskiego i parlamentu wiedeńskiego. A kiedy batalię tę wygrał, jako pierwszy poseł ludu polskiego z trybuny parlamentarnej ciskał gromy na szlachtę i burżuazję polską i austriacką, obnażał bez litości wszelki wyzysk i krzywdę, rzucał śmiało hasła

wolności politycznej i wyzwolenia społecznego.

Na tysiącnych zgromadzeniach zagrzewał Daszyński lud polski do walki o Niepodległą Polskę i Socjalizm. Pod Jego duchowym przewodnictwem szły w bój o Polskę i Socjalizm pierwsze szeregi strzeleckie. Jako wiceprzewodniczący N. K. N-u, reprezentował zawsze Daszyński najbardziej bojowe dążenia niepodległościowe. Aż wreszcie z krwi i wysiłku najlepszych synów polskiego proletariatu powstała wolna Polska.

Listopad 1918. Formuje się pierwszy Rząd Ludowy. Ignacy Daszyński jest jego premierem. Z Jego podpisem ukazują się płomienny manifest obwieszczający demokrację, wolność i przebudowę społeczną.

27 marca 1928 r. zostaje marszałkiem Sejmu. Do ostatniej chwili broni praw ludu pracującego. Mnożą się ataki na demokrację. Następuje przełomowa chwila najazdu oficerów na Sejm. Daszyński nie daje się steroryzować. Do ostatka broni wolności i godności przedstawicielstwa narodowego. Zawsze nieugięty, zawsze pełen energii. Niestety, choroba nie pozwoliła już dalej czynnie walczyć Ignacemu Daszyńskiemu. W sanatorium w Bystrej — umiera 31 października 1936 r.

„Tydzień Robotnika” 1936 r.

Przegląd Socjalistyczny

Ukazał się już nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego” 8 — 9 (10 — 11) z następującą treścią:

J. Hochfeld — Rachunek sumienia.

Cz. Bobrowski — Ekonomia i polityka w Planie Odbudowy.

J. Rudziński — Plan Odbudowy Gospodarczej.

T. Głowacki — Polityka zagraniczna USA.

W. Skowron — Ziemie Odzyskane.

A. Kwiatkowski — Administracja państwowa a gospodarka planowa.

S. Szwabbe — Ruch socjalistyczny wobec pracowników nauki.

A. Kuryłowicz — Wspomnienia o Norbercie Barlickim.

Kartki z historii socjalizmu:

J. Durko — Józef Montwiłł — Mirecki.

J. D. — Zamach na „Pierzynę”.

S. P. — Norbert Barlicki.

K. Dorosz — Uwagi o Narodach Zjednoczonych.

M. Elczewski — Kierownictwo przedsięwzięcia państwowego.

M. Rybicki — Społeczne oblicze sądownictwa polskiego.

St. Płoski — Terror jako metoda rządów niemieckich w Polsce.

L. Bukowiecki — Fotogeniczność literatury.

M. Drobner — O upowszechnienie muzyki.

M. Anhalt — Z literatury marksizmu.

Cena zł. 20

Daszyński w Sejmie

Daszyński należał do najwspanialszych mówców parlamentarnych. Urywki jednego z takich przemówień drukujemy poniżej. Jest to przemówienie wygłoszone 10 maja 1919 roku, podczas dyskusji nad pierwotnym projektem Konstytucji. Nie należy ono do czołowych, jakie Daszyński wygłosił, lecz właśnie dzięki takim wystąpieniom, dzięki stanowisku Polskiej Partii Socjalistycznej — która wespół z radykalną częścią chłopstwa staczać musiała na terenie Sejmu i poza Sejmem ciężkie boje — pierwotny projekt konstytucji uległ radykalnej zmianie i przyjął został, mimo jeszcze zastrzeżeń z naszej strony, tekst konstytucji, obowiązującej dziś jeszcze — „Konstytucji marcowej”. (red.)

Wysoka Izbo! Dziwnie sprzeczne uczucia ogarniają myślącego człowieka w tych kilku dniach ostatnich przy rozważaniu treści, formy i losu owego projektu deklaracyjnego Niepodległego Państwa Polskiego, jaki nam rząd przedłożył.

Powtarzacie bezmyślnie liberalne frazesy, upajacie się ładem rzekomym i obiecujecie sobie szczęście, zdrowie i pomyślność, zwłaszcza, że przy pomocy tej konstytucji ludzi z wadami dziedzicznymi przychodzących na świat — już nie będzie (weselość).

Każda konstytucja musi mieć w sobie jakąś butę bluźnierczą przeciw starym bogom, a co w tej konstytucji jest? Oto — konkordat, który runął wszędzie w 70 roku.

Zapowiada na ugodę ze stolicą papieską i na tę ugodę konkordatu, którego nigdzie w Europie nie ma, jeszcze na tę ugodę kręcą nosami panowie z ludowo - narodowego związku przez usta swojego mówcy wczorajszego. Jeszcze i to im zamało. I będziemy słyszeli tu głosy, podobne do owego głosu w broszurce, rozdanej nam uprzejmie za darmo, ks. Kakowskiego, który zapewniał, że będziemy tu mieli jakąś religię panującą.

Nad kim panującą?

Niedość wam, panowie, konkordatu, niedość wam, że stosunek religii rzymsko-katolickiej do państwa będzie dopiero wtedy stosunkiem prawnym, jeśli się papież na to zgodzi?

Niedość, że odstępujecie od władzy „suwerennego” Sejmu i jego praw, bo to wasze słowa: „suwerenność Sejmu” — że odstępujecie stolicy rzymskiej, jeszcze wam tego niedość, jeszcze chcecie ogłosić, że będzie religia panująca i powtarzam — nad kim panująca?

Najbardziej katolickim narodem w jednolitym swoim wyznaniu są Włosi.

Zaproponujcie we Włoszech konkordat, a wówczas zobaczycie, jakby was parlament włoski przyjął.

Powtarzam raz jeszcze pytanie, które utonęło w zgłębku, nad czym to panować chcą panowie księży rzymsko-katolicki? Nad szkołą w pierwszym rządzie, nad oświatą, nad duszą, jednym słowem rozciągnąć chęć rządu bez kontroli Sejmu, bo wy będziecie owym panującym wyznaniem i pieczę duchowych spraw masy, w waszym wyłącznie będzie spoczywała ręka.

Powiedzcie to jawnie, a wówczas cały naród będzie miał sposobność was ocenić, a wówczas walka rozegra się jawna i uczciwa, ale powiedzcie, położcie kropkę nad i, wyjdźcie raz z frazesu, jako byście byli w pierwszym rządzie Polakami i powiedzcie, że jesteście w pierwszym rządzie rzymsko - katolikami.

Plód przychodzący na świat, dziecko, poszarpać musi w pewnej mierze łono matki. W tej konstytucji nie czuję bólu szarpania wnętrza narodu, mam uczucie, że to jest martwy, poroniony plód, że to jest owoce nie miłości, tylko kłopotliwej sytuacji chwilowej, że to jest maska i szyld dla ratowania prestiżu tego Sejmu, który już zdepopularyzował się w oczach ludności do szczytu.

Zaniedbując reformy społeczne, odkładając reformę rolną, zdepopularyzowaliście się panowie w miastach i po wsiach.

To, co się nazywa uspołecznieniem, unarodowieniem, upaństwowieniem, czego pełne dzisiaj dusze wielkich tłumów ludzkich, to do czego wzdychają wielkie tłumy wszystkich narodów, to ku czemu dąży krwawy szlak zastępów ludzkich po wojnie, to znikło w waszej konstytucji zupełnie.

Moglibyśmy powiedzieć, że jest ona budowana na księżycu, albowiem jednego słowa nie ma o tym, że własność środków produkcji powinna należeć do narodu! Zamiast tego agituje się, zamiast tworzyć — robi się tutaj głupie kwerele i sprzeczki.

Stajemy się śmiesznymi, traktując te wielkie hasła ze stanowiska ciemnego łyka drobnomieszczańskiego, do którego kantoru, sklepiku, kamieniczki fala czerwona jeszcze dotąd nie dopłynęła. (głos: A pańska kamienica?). A o jakiej kamienicy pan mówi, o mojej kamienicy? (głos: tak!). Otóż, panowie, ponieważ to jest temat, który mnie zawsze humorystycznie nastraja, więc oświadczam z tej trybuny, że każdemu z panów, słuchajcie — rzecz poważna dla was — każdemu z panów, który mi pokaze moją kamienicę, ofiaruję ją bez kosztów żadnych i już teraz ją rejental-

nie zapisuję! Jest pośród panów dużo takich, dla którychby się kamieniczka przydała. Macie sposobność: wyszukajcie mi ulicę i numer, a ofiaruję ją temu, który mi ją wskaże.

Świat musi iść naprzód.

A to pójdzie naprzód może iść tylko w kierunku unarodowienia środków produkcji. Położyć kropkę nad i, nad rozwojem ekonomicznym, znaczy koncentrację kapitału uczynić tak dalece idącą, by skoncentrować kapitał jako środek produkcji w rękach narodu! „Wywłaszczyć powinni być wywłaszczeni!”

Ale panowie drżycie przed tym hasłem. Słyszeliście coś mętnego, że w wielkim manifestie komunistycznym 1847 roku hasło to stało się proporcem przyszłych czasów. Zatopieni w ideologii gospodarki drobnomieszczańskiej, cieszyć się, że drobnomieszczaństwo uwiecznicie w formie tej konstytucji, ale powiadam wam, że nie ma siły dość wielkiej, która by oparła się działaniu tych potęg żywiołowych, których pełno jest w dzisiejszym świecie kapitalistycznym.

Taka konstytucja nie ostoja się!

Naród — ma być najwyższym związkiem ludzi pracujących. Tylko na utrzymaniu cudzym będące dziecko, kaleka, próżniak, rentier — wykluczyliby siebie z majestatu władzy i pełnoprawności narodu.

Nie widzę, żeby to działanie nie odpowiadało ludowi pracującemu, a więc olbrzymiej większości obywateli Polski. Tak samo, jak i trzecie zdanie, że praca ma być podstawą bytu i wolności narodu i jednostek, powinna błyszczeć w każdej konstytucji, tworzącej się w 20 stuleciu.

Zrzeszenia religijne cieszą się taką opieką państwa, jak każde inne zrzeszenia w granicach prawa. Sejm jest ustawodawczą władzą najwyższą, o ile w sprawach ważnych uchwały jego zatwierdza naród.

Twierdzę, że projekt konstytucji rządowej jest projektem dorywczym, jest projektem kłopotliwym, na kilka zaledwie lat, że jest projektem martwo porodzonym, który w życie mas wejść tylko formalnie, którego serca mas nie wychowały, nie wypielegnowały, jak konstytucji 3-go Maja, która powstała w kuźnicach Kollatajowskich, która powstała w zrzeszeniach tajnych najlepszych obywateli pod gorącym tchnieniem rewolucji francuskiej.

Bitwa Atlantycka (II)

30 stycznia 1941 r. Hitler wypowiedział słowa, skierowane wyraźnie do Stanów Zjednoczonych: „Nie ludźcie się! Kto przypuszcza, że potrafi pomóc Anglii, musi zawsze pamiętać o jednym — każdy okręt, statek czy konwój, który znajdzie się u wylotu naszych wyrzutni torpedowych, będzie storpedowany... Na wiosnę rozpoczniemy naszą wojnę podwodną”...

W kwietniu 1941 r. Niemcy zatopili statków o pojemności 589.272 ton, a w maju — 497.847 ton. Oznaczało to, że tempo zatapiania było trzykrotnie większe, niż tempo budowy nowych statków w stoczniach amerykańskich i angielskich. Bitwa Atlantycka zamieniła się w wyścig pomiędzy stoczniami Anglii, Kanady i Stanów Zjednoczonych, a niemieckimi łodziami podwodnymi.

U boku marynarki brytyjskiej znalazły się również pozostałości flot handlowych i wojennych Norwegii, Francji, Holandii, Grecji, Polski. Niedobitki Polskiej Marynarki Wojennej w liczbie trzech kontrtorpedowców i dwóch łodzi podwodnych przedarły się do Anglii jeszcze w początkach września 1939 r. Marynarka polska została wzmocniona szeregiem jednostek przekazanych jej przez flotę brytyjską.

W maju 1941 r. 35.000-tonowy pancernik niemiecki Bismarck wymknął się ze swej bazy, by wziąć udział w Bitwie Atlantyckiej. Zatopił on angielski krążownik Hood, a w trzy dni później został dostrzeżony przez polski kontrtorpedowiec Piorun i zatopiony przez okręty brytyjskie.

Sprzęt wojenny z Ameryki do Anglii w tym czasie musiał być do Europy przewożony przez okręty angielskie. Lecz choć statki amerykańskie nie przewoziły w tym okresie materiału wojennego, zdarzały się wypadki, że niemieckie łodzie podwodne atakowały je bez ostrzeżenia. W maju 1941 r. zatopiony został Robin Hood, we wrześniu — Sessa, a w końcu kontrtorpedowiec Creer. Po tych wypadkach prezydent Roosevelt wydał amerykańskiej flocie wojennej rozkaz ochrony żeglugi amerykańskiej i strzelania bez ostrzeżenia do napotkanych jednostek niemieckich.

7 grudnia 1941 r. Japonia zaatakowała amerykańską bazę w Pearl Harbor, a parę dni później Hitler wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. Natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych niemieckie łodzie podwodne otworzyły atak na atlantycką żeglugę przybrzeżną Stanów Zjednoczonych. Do końca 1942 u wzdłuż Ameryki storpedowano 1944 r.

prawie 500 statków handlowych Narodów Zjednoczonych.

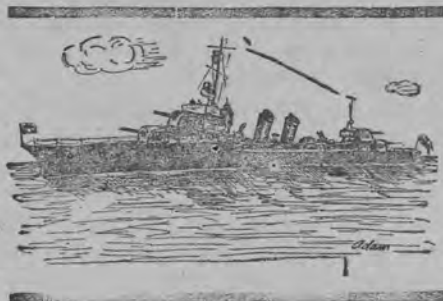
Dowódca niemieckich łodzi podwodnych, admirał Doenitz, zastosował metodę „wilczych stad”. Flotyle łodzi podwodnych napadały gromadnie swe ofiary lub czaiły się, zanurzone na szlakach okrętowych. Wynurzały się nocą, spiesząc na wskazane przez radio pozycje, by odciąć drogę konwojom.

Dotychczasowe środki obronne okazały się niewystarczające przeciwko „wilczym stadom” i straty żeglugi alianckiej wzrosły ogromnie.

Narody Zjednoczone uświadomiły sobie, że istotnym problemem w Bitwie Atlantyckiej jest kwestia czasu. Zaczęto realizować program masowej budowy okrętów i udoskonalać technikę walki z łodziami podwodnymi.

W r. 1940 Stany Zjednoczone wybudowały statków o łącznej pojemności 641.056 ton. W r. 1941 — 1.142.563 ton, a w r. 1942 — 8.090.800 ton! W ciągu pierwszych 11 miesięcy 1943 r. Stany Zjednoczone podwoiły liczbę morskich jednostek bojowych. W ciągu dwóch lat, które upłynęły od ataku na Pearl Harbor, flota amerykańska powiększyła się o osiem nowych pancerników. Wiosną 1942 roku flota amerykańska liczyła zaledwie trzy lotniskowce, w końcu 1944 roku liczba lotniskowców sięgała prawie stu. Kanadyjska flota wojenna, która w r. 1939 liczyła zaledwie 15 okrętów, wiosną 1944 r. posiadała ich 700.

6 marca 1942 r. admirał niemiecki Lützw oświadczył przez radio: „Żeby przetransportować dywizję wojska, składającą się z 15.000 ludzi, potrzeba statków o pojemności 200.000 ton. Żeby przewieźć 150.000 ludzi, potrzeba statków łącznej pojemności 2.000.000 ton. Gdzież, u licha, znajdzie Roosevelt tyle statków?”



Admirał Lützw nie długo czekał na odpowiedź. Otrzymał ją nawet trzykrotnie: po raz pierwszy 8 listopada 1942 r. w Afryce Północnej, po raz drugi — 10 lipca 1943 r. na Sycylii i po raz trzeci we Francji — 6 czerwca i 15 sierpnia

Tak samo wynalazki i udoskonalenia techniczne zmniejszały stale niebezpieczeństwo łodzi podwodnych.

Pierwszym osiągnięciem w tej dziedzinie było skonstruowanie okrętów patrolujących i eskortujących, przystosowanych specjalnie do walki z łodziami podwodnymi. Innym środkiem walki było niszczenie łodzi, zanim mogły one wejść do akcji. Samoloty bombowe RAF-u, w którego szeregach służyli lotnicy wielu Narodów Zjednoczonych, i bombowce Ósmej Floty Powietrznej Stanów Zjednoczonych, stacjonowane w Anglii, niezmordowanie atakowały stocznie w Hamburgu, Wilhelmshafen, i Rostocku i niszczyły łodzie podwodne w czasie ich budowy.

Samoloty również wykrywały i atakowały łodzie podwodne na morzu, zanim zdążyły one przeciąć drogę konwojowi. Z początku osłona lotnicza rozciągnięta była tylko na wody przybrzeżne, lecz 18 lutego 1943 r. utworzona została specjalna formacja lotnictwa amerykańskiego do walki z łodziami podwodnymi, która tę ochronę rozciągnęła na cały Atlantyk.

Poza samolotami operującymi z lądu, prawie każdemu konwojowi towarzyszyły lotniskowce eskortujące.

Jeżeli nawet samoloty nie mogły zniszczyć łodzi podwodnych, to w każdym razie uniemożliwiły im działalność. Skuteczna technika ochrony konwojów i walki z łodziami podwodnymi była wynikiem trzech lat praktyki i obserwacji. Wszystkie szczegóły nie mogą być ujawnione, możliwe jest jednak podanie paru faktów, na których opierała się akcja przeciwko łodziom podwodnym:

a) Zasięg torpedy jest ograniczony.
b) Najwolniejszy konwój mógł ujść łodzi podwodnej, jeśli była ona zmuszona płynąć pod wodą.

c) Łódź, złapana na powierzchni, narażona była prawie zawsze na zbombardowanie przez samoloty lub ostrzeliwanie przez obsługi dział okrętów eskortujących i uzbrojonych statków handlowych, wyposażonych w aparaty do wykrywania łodzi podwodnych.

d) Każda łódź podwodna musi od czasu do czasu wynurzyć się na powierzchnię, by naładować akumulatory. To też walka z łodziami podwodnymi polegała na tym, by nie pozwolić im wynurzyć się spod wody, przez co nie mogły one ścigać konwojów ani ładować akumulatorów.

Odbywało to się w sposób następujący:

(dok. w następnym numerze)

WŁAŚNIE PPS!

„Gdyby twórca „Boskiej Komedii” żył wśród nas dzisiaj, gdyby dzieło jego w naszych czasach powstawało — to co przeżyliśmy w pamiętnych dniach wrześniowych 1944 r. z pewnością w „Piekło” znalazłoby swoje odbicie”.

**

Ostatnie dni września 1946 r. Mostem Poniatowskiego mkną auta, ciężarówki, łamwaje. Nad Wisłą pracują robotnicy. W ciepłych jeszcze promieniach wrześniowego słońca dźwiga się z ruin Warszawy, rwie się do nowego, pełnego życia.

Przed małą nadwiślańską kaplicą zatrzymuje się kilka aut, na chodniku pełnym piachu i gruzu grupki ludzi. Ołaczają nas rozłupane, szczerbate mury, zżmne, odpychające — jak trupy. Z kaplicy dochodzi odgłos dzwonka: msza za poległych na tym odcinku powstańców Armii Krajowej i Armii Ludowej. Wchodzimy. Trudno mi się skupić.

Obserwuję szczerze wypełniającą kaplicę ludzką gromadę:

Starsze, siwe, przeżyciami i cierpieniami sterane małżeństwo. Syn poległ. Wzruszone blade twarze, zgarbione przeraźliwie zgniekane postacie. Lzy ciekną ciurkiem i raz po raz szeptańc cicho słowa modlitwy przerywa szloch.

Przedem jakąś niezwyklej piękności młoda pani. W oczach ból, żal, łzy...

Dowódcy, rodzice i ta wiecznie paląca się do czynu bohaterska, powstańcza młodzież. Teraz cicha, poważna, zamyślona.

I ten puciołowaty, może dwudziestoletni blondynek, dziewczyna w szarej bluzie, łączniczka zapewne, rudawy harcerz z „Virtuti” i kolega jego, zgarbiony chłopak z pustymi rękawami marynarki wetkniętymi w kieszeń. Podporucznik o dziecięcej twarzy opiekuje się niewidomym majorem.

Zywi modlą się za poległych towarzyszy broni. „Gdyby Dante żył wśród nas dzisiaj...” — brzmią słowa kazania. Ten sam ksiądz, który przed dwoma laty w łoskocie walących się domów, pyle i dymie, w huku dział i rechocie karabinów maszynowych odprowadzał powstańcze nabożeństwa.

Mówi z serca, prostymi niewymyślanymi słowami. Mówi, że „mamy Wielką, Niepodległą Polskę”, że „obowiązkiem naszym jest udzielenie Rządowi poparcia...” Szczerze, proste słowa...

...Ze dość jałowych, nonsensowych tarć, że konieczny jest wspólny, twórczy wysiłek... Mówi o Ziemiach Odzyskanych mądrze, słusznie, przekonująco.

Patrzą w księdza i ci rodzice zgniekani, i dowódcy, harcerz z „Virtuti Militari”.

Łączniczka w szarej bluzie, kolega bez ręki, smutna, młoda, pani z wielkimi, pełnymi łez oczyma, ten co walczył między Wisłą a Berlinem i ten w angielskim mundurze, który przyjechał z zachodu.

Czuje się, że nie ma w tej chwili Ałowców, i nie ma Akowców, są koledzy, towarzysze, przyjaciele.

Ta msza w małym, nadwiślańskim, na wpół rozwalonym kościółku miała swoją bardzo głęboką wymowę.

Nie idzie mi w tej chwili o fakt pewnej ceremonii religijnej. To nie jest najważniejsze. Ważne jest to, że nie istniały między nami wtedy żadne różnice. Tak jak nie istniały w ogniu walki przed dwoma laty.

Było jednak coś bardzo wzruszającego w tym tłumie. Nie to, że był rozmodlony. Raczej to, że prócz modlitwy myślał o tym samym i to samo odczuwał.

Tak zwane „oficjalne” pojednanie nastąpiło już przed rokiem. Na wezwanie pułk. Radosława ujawniło się wielu z tych, którzy poprzednio nie wstąpili do wojska bądź ochotniczo, bądź drogą poboru. Wiele tysięcy młodych ludzi doszło do słusznego wniosku, że dalsza konspiracja jest bezsensowna i szkodliwa, prościej nie ma racji bytu.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że jednak dawniej nie odnoszono się do nas, akowców, ze specjalnym zaufaniem, nie mówiąc już o sympatii. Rzecz prosta było to i bolesne i upokarzające. Niestety, przez długi jeszcze okres czasu po „zmianie frontu” sytuacja nie uległa widocznej i szybkiej poprawie.

Pojednanie rodziło się w bólach. W zakamarkach niejednego serca coś tam kolatało, żeśmy „czarni”, „brunatni”, „Bóg-więjacy”.

A sprawa jest prosta. Idzie tylko o to, by wysłuchać się bez unoszenia ramion, z odrobiną dobrej woli.

Więc tak: My, akowcy, chcielibyśmy by nareszcie zrozumiano gdzie trzeba, że sztab i armia, to nie było jedno ciało. Na innym miejscu z okazji Rocznic Sierpnia wej pisałem, że dla niewielu tylko Polaków w okresie okupacji sprawa polityki w konspiracji była istotna. W olbrzymiej swej masie szliśmy do tych oddziałów, które, jak pisałem, „pierwsze w swej drodze do Podziemia napotkaliśmy”. I dalej twierdząc, że kwestia przynależności do takiej, czy innej organizacji wojskowej była tylko takim, czy innym „przydziałem macierzystym”.

To jest ważne i z tym należy się zgo-

dzić. I wtedy z tego założenia wychodząc, nie będziemy za dziwoląg uważali akowca-pepesowca. Prawda?...

A przecież o to m. in. idzie. I o to jeszcze, by stało się jasnym, że dzisiaj tragedią AK, są bandy zbrodniarzy i wykołajników leśnych, którzy śmiało podszyc się pod nią, kłamać Jej imię.

Dla każdego prawego akowca jest to oczywiste bezczeszczenie świętego symbolu patriotyzmu, pracy, poświęcenia. Bandy zwyrodniałców i płatnych szpicli zagranicznych, dla których brak dostatecznie dotkliwej kary i dostatecznie mocnych słów potępienia — to nie oddziały Armii Krajowej. Armia Krajowa już nie istnieje, tak nie istnieje Armia Ludowa, czy Polska Armia Ludowa. Pozostały symbole, wspomnienia. Ludzie wsiąkli we wspólną, twórczą pracę.

Gdy się z tym zgodzimy — nie będzie „jatrzenia, pomniejszania zasług i ofiar tych, którzy byli tylko walczącymi żołnierzami” („Pobudka” nr. 39).

Różne bardzo bolesne uogólnienia nie są w naszym społeczeństwie czymś oderwanym: po wsiach i miasteczkach wielu ewangelików jest poprostu „dojeżdżami” — i trudno, nie przekonasz nikogo, że to Polacy.

Tutaj to samo: ktoś się uparł, żeby akowiec był „czarną reakcją”, że w oddziale tumaniono mu łeb antydemokratyczną propagandą itd. itd.

Moi drodzy! dajmy już nareszcie temu pokój. Nie należy rzeczy wikłać bardziej, niż są powikłane. Nie jestem romantykiem, ale nikt mnie nie przekona, że znajdzie się lepsza przynęta dla zniechęconych i wahających się — od zamiany nieufności — na serdeczność i życzliwość. Trzeba pomóc tym ludziom, którzy „i chcieliby i boją się”.

I jestem przekonany, że nikt inny nie jest bardziej od PPS. predystynowany do wyciągnięcia ręki na zgodę. Tak na mur! Na żelazo-beton!

Właśnie PPS! Ta wiecznie młoda i żywotna staruszka, która najwięcej w życiu widziała, najwięcej zebrała doświadczenia, wiele wie, wiele potrafi i... niczemu się nie dziwi.

Właśnie PPS!

Myślę, że to będzie naprawdę pigmny dzień, gdy każdy z nas z jednakową dumą, z czołem jednakowo wysoko podniesionym powie głośno i dobitnie:

„Czołem koledzy! Ja byłem w AK!”
„Czołem koledzy! Ja byłem w PAL-u!”
„Czołem koledzy! Ja byłem w Armii Ludowej!”

K. Piech.

ROBOTNICZA ROZGŁOŚNIA P.R.

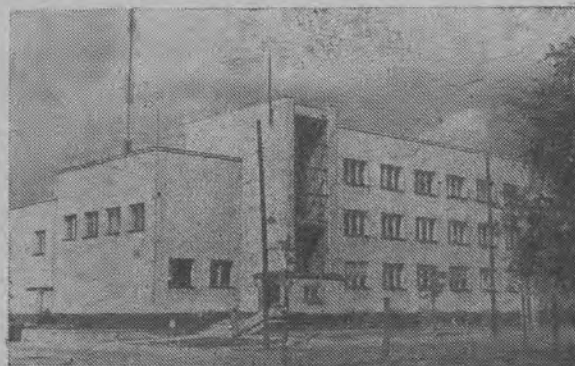
Łódzka Rozgłośnia... Nasza... Robotnicza...

W roku 1930 była „Kopciuszkiem” Polskiego Radia. Słabiutka, o niespełna dwukilowatowej mocy, mieściła się w małym „domku na kurzych nóżkach” przy ul. Inżynierskiej. Nie posiadała ani jednego studia, bo koncesja, ułożona przez ówczesne „czynniki decydujące”, zakneblowała łódzki mikrofon. Radiostację największego po Warszawie polskiego miasta ograniczono do transmitowania programów innych rozgłośni.

Ale Łódź, sześciusettyśięczne skupisko ludzi pracy o wspaniałych tradycjach bojowych, burzyła się przeciw tej krzywdzie. I oto w dniu Święta Robotniczego 1 Maja 1931 roku, wbrew martwej literze koncesji i wbrew surowym zakazom ówczesnej dyrekcji naczelnej, mała załoga Radiostacji odważyła się na czyn rewolucyjny, nadając samodzielnie pierwszą audycję własną Rozgłosną Łódzką.

Przez ten wyłom, wybity w chińskim murze koncesyjnym, przedostawały się do mikrofonu łódzkiego coraz to nowe rodzaje audycji, coraz mocniej podkreślając konieczność budowy w Łodzi co najmniej 10-kilowatowej radiostacji z no-

Łodzi, dnia 20 stycznia 1945 r. stanęła na zgłiszczach swojej radiostacji gromadka inżynierów i robotników polskich, tych samych, którzy ją przed wojną budowali. Kilku z nich skłeciło



Gmach Łódzkiej Rozgłośni.

na prędkie prowizoryczną amplifikatornię i przeprowadziło połączenia, aby już nazajutrz rozpocząć nadawanie komunikatów megafonowych o pogromie hord niemieckich. Inni, nie bacząc na pesymistyczne przepowiednie specjalistów zagranicznych, zaciśnili zęby, zakasali rękawy i spod gruzów i zgłiszczy poczęli wydrapywać ułamki aparatury nadawczej, zlepiając to, co dało się zlepić, albo dorabiając części, rozbite na proszek. I w niecałe 9 miesięcy później, 21 października 1945 r., po z górą sześciolletniej przerwie, rozległ się znowu w polskim eterze triumfalny głos Radiostacji Łódzkiej P. R. Naszej Radiostacji... Robotniczej...

Dnia tego z czerwonego tła transparentów, zawieszonych na gmachu przy

ul. Narutowicza, były w miasto dwa hasła: „Robotnik przy głośniku” i „Robotnik przed mikrofonem”. Głosiły one tę wielką prawdę, że aczkolwiek radio jest dobrem powszechnym, jednak służyć winno przede wszystkim najszerszym masom pracującym, tymbardziej, że mimo zwycięstwa idei demokratycznych w Polsce, masy te nie mają jeszcze pełnego, bezpośredniego dostępu do dóbr kulturalnych. Hasła te wykreślały drogi radiofonizacji kraju w kierunku świetlic,

szkół, oraz izb chłopskich i mieszkań robotniczych. I domagały się coraz szerszego udziału mas w kształtowaniu i wykonywaniu programu.

A oto bilans realnych osiągnięć w tym kierunku, zamknięty w dniu pierwszej rocznicy odbudowy Radiostacji. Mimo wręcz katastrofalnego braku materiału i sprzętu technicznego, przeciągnięto w tym okresie 712 klm. linii, uruchomiono ogółem 61.725 punktów odbiorczych, radiofonizowano 430 świetlic, 207 fabryk i tyleż szkół. W dziedzinie radiofonizacji wsi — Łódź wybiła się na pierwsze miejsce, łącząc 303 wsie z Polską i ze światem.

Jednocześnie rozwijał się, wzbogacał i coraz wyraźniej kształtował swe własne oblicze program łódzki, z jednej strony zasilając obficie program ogólnopolski audycjami o wysokim poziomie formalnym, a z drugiej nie ustając w poszukiwaniu nowych, coraz doskonalszych form audycji dla szerokich mas i coraz trafniej rozwiązując trudne i złożone zagadnienie „robotnika przed mikrofonem”.

Radio jest najdoskonalszym środkiem upowszechnienia oświaty i kultury, najszybszym informatorem, najbardziej sugestywnym czynnikiem jedności rodzinnej, regionalnej, narodowej, a nawet ogólnoludzkiej. Jest ono jednocześnie najpotężniejszym instrumentem mobilizacji wszystkich twórczych sił Narodu i dlatego dzień 21 października był nie tylko Świętem pracowników Rozgłośni Łódzkiej, ale również Świętem szerokich mas pracujących Łodzi i całego województwa Łódzkiego.

Jan Piotrowski

NA MORZU.

Stary wilk morski egzaminuje młodego marynarza.

— Powiedz mi chłopce co byś zrobił, gdyby sztorm uderzył w prawą burtę statku?

— Zarzuciłbym kotwicę kapitanie.

— Dobrze. A jeśli by potem sztorm uderzył w tył statku?

— Zarzuciłbym drugą kotwicę kapitanie.

— Tak. A jeśli by jeszcze sztorm uderzył w dziób okrętu?

— Rzuciłbym jeszcze jedną kotwicę kapitanie.

— A skąd się u ciebie bierze tyle kotwic?

— Stąd, skąd u Pana biorą się wszystkie sztormy. („Krokodyl”)

JAPONSKA „DEMOKRACJA”

Japońska Izba Peryw (Senat) debatując nad projektem nowej konstytucji, nie mogła zgodzić się na punkt o całkowitym rozbrojeniu kraju. Tłumaczono, iż Japonia nie będzie mogła w przyszłości stać się

członkiem Narodów Zjednoczonych w wypadku całkowitego rozbrojenia, gdyż każde z państw, należące do ONZ musi wystawić pewną ilość wojska do międzynarodowych sił zbrojnych.

Co to jest kultura socjalistyczna

Z naszym udziałem dokonywują się w Polsce doniosłe przemiany gospodarcze i społeczne. Przemiany te muszą dotyczyć także sfery duchowej, kulturalnej. Dążąc do stworzenia Polski socjalistycznej dążymy jednocześnie do wychowania nowego człowieka o kulturze socjalistycznej.

Co to jest kultura socjalistyczna, jakie są jej cechy przewodnie? Czy istnieje już w takim sensie jak kultura kapitalistyczna lub ludowa wiejska?

Kultura powstaje wraz z klasą i wraz z nią zamiera. Oczywiście zmiany w sposobie bycia, obcowania i pojęciach nie następują tak szybko jak w strukturze politycznej i gospodarczej. Toteż dziś mimo likwidacji kapitalizmu w Polsce występują jeszcze wpływy kultury kapitalistycznej. Głównymi jej cechami moralnymi są: panowanie pieniądza jako czynnika wartości i miernika społecznego, egoizm klasowy, obluda i wygrywanie różnic rasowych, narodowych i religijnych, uznawanie czynnika nadprzyrodzonego w życiu, przerost indywidualizmu i zasada wodzostwa silniejszej jednostki.

Jednocześnie z kulturą kapitalistyczną występuje kultura ludowa wiejska i rodzi się proletariacka socjalistyczna. „Oryginalnym składnikiem kultury ludowej — mówi K. Woiciechowski — jest przede wszystkim pomoc wzajemna, ujawniająca się w takich faktach społecznych jak np. solidarne wspomaganie pogorzelca przez pomoc w od budowie, wysyłanie młodzieży wspólnym wysiłkiem na uniwersytet ludowy (zsyłka zboża na ten cel), dostarczenie mleka rodzinie, której padła krowa itp. Można też mówić o samorodnym budownictwie wiejskim np. górali. Natomiast barwne stroje wiejskie, melodie, nawet gościnność i pewna dworskość w obejściu są najczęściej uproszczonym bądź zmodulowanym powtórzeniem form innych klas społecznych (szlachty, mieszczaństwa). Kultura ludowa przez konserwatyzm wsi zawiera wiele cech kultury panującej szlacheckiej.

Oczywiście, wieś młoda wykazuje nowe tendencje, które jednak w stopniu daleko silniejszym wystę-

pują wśród proletariatu. Dlatego klasę robotniczą z jej świadomością socjalistyczną uznać należy za nosicielkę, za twórczynię nowej kultury, do której należy jutro.

Jakie są cechy i pierwiastki zapowiadającej się kultury socjalistycznej?

Zasady kultury socjalistycznej sformułował znany socjolog Stefan Czarnowski w ogłoszonej jeszcze przed wojną pracy p.t. „Cechy społeczne i moralne zarysowującej się kultury proletariackiej“. Oto najważniejsze: zespoleni: jednostki z masą, praca jako źródło wszelkich wartości, zastąpienie wiary przez zaufanie do rozumu, współpraca międzynarodowa, realizm czynu i konkretyzm myślenia, sprawiedliwość społeczna i braterstwo, kultura woli i czynu. Wreszcie, nie należy zapominać o bardzo ważnej cesze kultury socjalistycznej: świadomości klasowej.

Oczywiście, typ człowieka o wymienionych zasadach duchowych nie przyjdzie mechanicznie w wyniku dokonywujących się przemian gospodarczych społecznych. Należy dążyć do wychowania klasy i jednostki o obliczu socjalistycznym. Wychowanie jest ważnym czynnikiem w życiu. Od dziecka jesteśmy urabiani w tych czy innych poglądach zależnie od idealów wychowawców.

Nasze wychowanie jest wyraźnie kierunkowe, bo jest socjalistyczne. Ma na uwadze człowieka uspołecznionego czynnego socjalistę. Jest to wychowanie pojęte jaknajszerszej, obejmuje bowiem nie tylko dzieci, ale i młodzież, a także dorosłych.

Musimy uzyskać nowy typ człowieka, który będzie świadomym czynnikiem twórczym na drodze przemian ku Polsce socjalistycznej. Nie wolno nam jako socjalistom zapominać, że to jest nasz cel, że my nie poprzestajemy na poszczególnych etapach, lecz kroczymy ku Polsce socjalistycznej, ku solidarności i współpracy całego świata robotniczego.

Czym jest solidarność i jak ją kształcić? Jest ona wspólnotą, pomocą wzajemną, współdziałaniem, braterstwem. Oparta o instynkt społeczny jest solidarność podwaliną socjalistycznego poglądu na świat i projekcją przyszłości, tzn. idącego społeczeństwa bezklasowe-

go braterskiego. Solidarność stawia na miejsce prawa silniejszego, prawa uświęconego przez kapitalizm, moralny obowiązek silniejszego do opieki nad słabszym. Solidarność to zapowiedź braterstwa, które z czasem obejmie cały świat.

W starożytności istniało przysłowie rzymskie, mówiące, że człowiek jest człowiekowi wilkiem. Tej zasadzie socjalizm przeciwstawia solidarność, a poprzez solidarność braterstwo. W czasach średniowiecznych pielęgnowano typ chrześcijanina, żarliwego religijnie i owianego duchem pokory wobec sił wyższych boskich. Socjalizm głosi potęgę twórczego umysłu ludzkiego i kult czynu. Do nas należy szczęśliwsza przyszłość, zależna tylko od naszego wysiłku.

W okresie kapitalizmu zrodziło się uwielbienie maszyny, która jak molołoch pożerała człowieka. Człowiek przez ustrój kapitalistyczny uległ degradacji — był przysłowiowym kołkiem w ogromnej maszynie produkcyjnej. Socjalizm docenia ideę produktywizacji, wznosi ją wysoko, ale odrzuca wyzysk klasowy. Kapitalizm otwierał drogę najsilniejszemu jednostkom, hodował typ człowieka przedsiębiorczego i silnego przez posiadanie — ponad wyzyskiwaną masą robotów. Socjalizm wyznaje ideę produktywizmu jako drogę do opanowania sił przyrodniczych świata i podniesienia dobrobytu mas. Przez wysiłek naszych rąk i mózgów dojdziemy do własnej potęgi materialnej, obróconej już nie na korzyść poszczególnych jednostek czy jednej tylko uprzywilejowanej klasy, lecz całego pracującego ludu.

Wreszcie socjalizm tępi wojny i ciemne potęgi zła, wykorzystywane ostatnio przez faszyzm w postaci nienawiści rasowej i narodowej. Socjalizm głosi równość wszystkich narodów, ras i wyznań, socjalizm uznaje równość i wolność ludzi.

Oto jest typ nowego człowieka, do którego dążymy my socjaliści: twórczy i uspołeczniony, światły i braterski, silnie tkwiący w jedności robotniczej całego świata.

Grzegorz Timofiejew

Rozpowszechniać
„POBUDKĘ“

POZNAJMY GRAFIKĘ RADZIECKĄ

W 7 nr czasopisma „Przyjaźń” odnajdujemy ciekawe uwagi I. Witza na temat grafiki radzieckiej. W tych dniach bowiem mieliśmy możliwość oglądania dzieł grafiki radzieckiej, na specjalnej wystawie najpierw w Muzeum Narodowym w Warszawie a potem w Łodzi. Jest to odpowiednik wystawy naszej w Moskwie. W ten sposób na drodze wymiany dóbr kulturalnych następuje wzajemne poznawanie się i zacieśnianie więzów przyjaźni.

Przypominamy sobie, że już w r. 1937 gościliśmy w Polsce artystów radzieckich na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów. Wtedy już uderzał wysoki poziom radzieckiej grafiki a zarazem jej wymowna treść i czytelność, to znaczy przystępność dla szerokiego ogółu. Zwłaszcza wybijały się drzeworyty Krawczenki i Faworskiego zyskując sobie światową sławę.

Artyści radzieccy doszli do tych rezultatów w wyniku rozumienia przemian społecznych. Rewolucja społeczna i polityczna, której widownią po pierwszej wojnie była Rosja, siłą rzeczy musiała wpłynąć na sprawy sztuki, musiała do gruntu zmienić pojęcia o estetyce, musiała postawić zagadnienie umasowienia sztuki wychodząc z założenia, że sztuka powinna służyć masom. Zerwano z przestarzałymi kanonami, balastem wyszukanego i symbolicznego wyrazu, a sięgnięto do wzorów starej ludowej sztuki rosyjskiej i do twórczości realistów.

W ten sposób artyści radzieccy doszli do nowej sztuki. Grafika z czysto fizycznej chociażby przyczyny najlepiej się do tego nadawała, posiadała bowiem szeroką możliwość rozprzestrzenienia oryginału. Nowa grafika radziecka powstała jako część nowej książki radzieckiej. Przez to miliony czytelników zaczęły zapoznawać się z grafiką.

Wystawa grafiki, akwarel i rysunków artystów Związku Radzieckiego pozwoliła społeczeństwu polskiemu na bliższy kontakt z tym co się w Związku tworzy. Udział brało 96 wystawców. Przeważająca część prac powstała w czasie wojny.

Problematyka ich jest aktualna, gdyż celem autorów było włożenie i swego wkładu w dzieło walki i zwycięstwa. Celem ich było przedstawienie w artystycznej formie wysiłków ludów Związku Radzieckiego, walczącego w obronie praw człowieka i w obronie swojej ojczyzny. Wielu z artystów a nawet przeważająca ich część pełniła podczas wojny służbę w Czerwonej Armii, pełnili oni ją dwutorowo i jako żołnierze i jako artyści.

Drugim rozdziałem twórczości na omawianej wystawie jest ilustracja do arcy-

dzieł literatury wszechświatowej i literatury ludów Związku Radzieckiego. Zwłaszcza w tym dziale napotykamy na prace o wielkiej i nieprzemijającej wartości istotne dzieła sztuki.

Do najciekawszych prac mających za temat przeżycia wojenne bądź ilustrujące pewne fakty historyczne z okresu ostatniej wojny zaliczyć musimy bezwątpienia doskonale realistyczne litografie. Pachomowa poświęcone walczącemu Leningradowi w dniach jego blokady.

Leningradowi poświęcone są również linoryty B. Judowina, znanego nam z poprzednich wystaw. Sztuka Judowina jest sztuką czysto graficzną, problem jej sprowadza się w zasadzie do najprostszego, a jakże trudnego i najbardziej istotnego w grafice zagadnienia kompozycji konkretnych czarno-białych form. Architektura Leningradu poświęcone są również litografie Astopowa oraz drzeworyty Moczałowa.



Leningrad w czasie blokady
(B. Judowin).

Zupełnie inną skalę możliwości przedstawia natomiast J. Sojferis. Jest to rysownik obdarzony ostrą obserwacją o lekkiej ręce i dowcipie rysunkowym. Sojferis przeżył wojnę w marynarce czarnomorskiej. Tematom z życia wojennego ludzi morza w większości poświęcone są jego akwarele.

Szereg rysunków o podobnej tematyce wystawił Gorjajew. Zwraca on uwagę widza wielkim zainteresowaniem dla człowieka na tle sytuacji.

Jeżeli chodzi o formalną i artystyczną stronę wystawy, to druga grupa artystów, tworzących ilustracje książkowe

przedstawia się nieporównanie dodatniej, aniżeli grupa wymieniona powyżej. Sam fakt, że twórczość ich wyzbyta jest często zawodowej i fałszywej interpretacji aktualnej problematyki stwarza prace o trwalszym i poważniejszym wyrazie.

Największą indywidualnością jest bezwzględnie przedwcześnie zmarły Aleksander Krawczenko. Jest on niezrównanym mistrzem rysunku i kompozycji, doskonałym mistrzem ryłca. Nie należy zapominać, że twórczość Krawczenki przez długie lata była najwspanialszą sensacją w grafice światowej, że nazwisko Krawczenki oznacza najwyższą skalę kryteriów stosowanych do drzeworytnictwa. On bowiem w wielkiej części wypracował te zdobycze jakimi może pochwalić się obecnie drzeworyt europejski, on bowiem w wielkim stopniu skierował poprzez swą twórczość na nowe drogi grafikę światową. Krawczenko zmarł w 1940 roku, w chwili, gdy tworzył swoje najpiękniejsze prace, apogeum swojej twórczości. Sześć jego drzeworytów na wystawie, to sześć arcydzieł współczesnej grafiki.

Zadziwił nas zmianami w formie wypowiedzianymi się Włodzimierz Faworski — druga po Krawczenku postać najwyższego poziomu. Jeszcze w ilustracjach do kryłowskich bajek tkwi stary mistrz. Ale linoryty na wschodnie tematy wnoszą do grafiki współczesnej jakiś nowy rytm rewolucyjności i wynalazczości formalnej. Jest to świadoma droga wielkiego artysty. Zmieniając się sam Faworski nie zmienia wartości swoich dzieł. Droga jego jest zadziwiająca i zadziwiająco świadczy o artyście.

Dla publiczności polskiej interesującą ze wszech mjar są ilustracje drzeworytnicze Eczeistowa do rosyjskich przekładów Mickiewicza.

Dobre rysunki o groteskowym charakterze prezentuje Kaniewski w ilustracjach do powieści Sałtykowa-Szczedryna „Pompadury i Pompadurki”.

Pełne tradycji i wycucia środowiska dziewiętnastowiecznego są litografie Kibrika do „Zaczarowanej duszy” Romain Rollanda.

Podobny, lecz pełniejszy jako ilustrator, jest Szmarinow, autor ilustracji „Zbrodni i kary” — Dostojewskiego.

Wspaniałą pozycją są trzy rysownicy Kuprianow, Kryłow i Sokołow, pracujący pod nazwiskiem Kukryniksy. Są to inteligentni karykaturzyści psycholodzy, obdarzeni niesłychanym poczuciem groteski, komizmu i satyry. Ich ilustracje do Gogola posiadają nieprzeciętne wartości.

Na polu ilustracji książki dziecięcej z powodzeniem pracują Kuźniecowa, Waśniecowa, Czarusziń, Domagackij.

STRAJK

Któregoś dnia przyszedł Antek do domu ponury, ze złymi błyskami w oczach. Coś tam bąknął na powitanie, rzucił czapkę na łóżko i siadłszy ciężko na ławie oparł głowę na rękę.

W izbie zrobiło się zaraz cicho jakby makiem zasiał. Dzieciaki przycupnęły w kącie, stara Dusiakowa, co gębę miała jak wrota narzuciła chustkę na kościste ramiona i niepostrzeżenie wysunęła się z izby; nawet kot zaprzestał harcować. Tylko Julka nie wytrzymała i zapytała jakby nigdy nic, opierając się przytym o stół w ten sposób że Antek choćby nawet nie chciał musiał dojrzeć w różowości jej staniaka parę krągłych, dziewczęcych piersi.

— Antek, jak tam dziś było po fajerancie, kupiłeś mi ten pierścionek z czerwonym oczkiem, ten z wystawy od Szmulka?

I nie doczekawszy się odpowiedzi zagadnęła przymilnie.

— No, Antoś — co to, gniewasz się na mnie?

Daj spokój Julka, nie widzisz że zmęczony — stara kobieta skarciła ją ostro — wzięabyś się lepiej do zmywania statków, ty zbierzniczko, zamiast chłopakowi głowę suszyć.

— Antoś! zwróciła się do syna — pojesz trochę kartofli? A i barszczu zabielenego nagotowałam. —

— Cholera jasna — Antek wyrzwał pięścią w stół, że aż matka przeżegnała się przestraszona — że też człowiekowi spokoju w domu nie dadzą. A niech to wszystko piorun jasny spali — rozłoszczony z oczami pociemniałymi z gniewu, złapał czapkę, rąbnął drzwiami, aż szyby zadrżały i wypadł z izby.

— Co mu się stało? Julka była wyraźnie przestraszona — przecież nie powiedziałam nic złego — usprawiedliwiała się sama wobec siebie — a może mnie już nie lubi?... —

I zaraz niebieskie jej oczy poczęły błyszczeć łzami, a małe wilgotne usta drzeć jak u skrzywdzonego dziecka.

— Co mu się stało, co mu się stało — przedrzeźniała stara. Krakasz mu nad głową, gdy tylko chłopak próg przekroczy, to i wreszcie z nerw wyszedł. Już ja ci mówię Julka, że za wiele sobie teraz tutaj pozwalasz. Myślisz, że ja stara nie widzę — i nie rozumiem co się pod moim dachem dzieje. Jeszcze mi przyjdzie ze wstydu oczy chować przed ludźmi, że córki mej umarłej kumy upilnować nie potrafiłam — ot to mi przyjdzie na stare lata za to, że sierocie chciałam dać chleb i kąt we własnym domu.

— No, nie becz, nie becz — dodała już łagodniej, jako, że serce miała miękkie i czułe na czyjeś łzy — prze-

cie ja tylko dla twego dobra mówię. Myślisz, że ci przeciwna, że nie chcę byś już została tu w chałupie razem z nami — z Antkiem?

Cicho, już, cicho — głaskała dziewczynę po jasnych, jakby fryzowanych włosach — powiedz lepiej co mu się stać mogło, że taki zły przyszedł; może go z pracy wyrzucili — dokończyła z przestrachem i aż przysiadła na ławie, odurzona strasznym przypuszczeniem.

— Jezus Maria... powtórzyła zbiełalymi nagle wargami — na pewno wyrzucili go z pracy. —

Był to rok 1934, okres największego nasilenia bezrobocia, kiedy to o pracę było trudniej jak o gwiazdkę z nieba, kiedy setki, tysiące wykwalifikowanych robotników włóczyło się po ulicach, głodnych, skamieniałych jakby w swej nędzy, kiedy ludzie z cenzusem chwytały się każdej, najpodlejszemu sytuacji pracy, by jakoś wyżywić siebie i rodzinę.

W jakim czasie stracić pracę równało się wyrokowi śmierci. I w takim właśnie to czasie do spokojnej Antkowej izby zapukała ta najstraszniejsza, nocami spędzająca ludziom sen z powiek — redukcja.

Właściwie to i sam Antek przyłożył się do nieszczęścia. A było to tak. Tego tygodnia na fabryce ludzie poczęli znów przebąkiwać o obniżce. Ktoś tam powiedział któremuś z nich, że z powodu kryzysu i zastoju produkcji zarobki zostaną obcięte o 30%. Równało się to dla niejednego ostateczności, zwłaszcza dla robotników starszych, obarczonych liczną rodziną.

Nic więc dziwnego, że ludziska podnieśli gwałt, a Józka Malinowczanka, która z pracy rąk utrzymywała matkę i dwoje dzieci, jak nie wyskoczy na środek hali, jak nie wyciągnie chudych jak piszczele rąk i nie krzyknie ostrym, rozpaczliwym głosem:

— Ludzie, ratujcie. Na tego drania to już chyba pomsty nie ma. Znowu obcinać będzie, bo on sam nie wie co to głód, nie wie jak boli serce, gdy Twoje dzieci płaczą z głodu... Ludzie, precz od maszyn — robimy strajk! strajk!

Wtedy to z grupy milczących ponuro robotników wypadł Antek. Straszny był. Stalowe, jasne oczy aż mieniły się gniewem, ręce zaciśnięte kurczowo zda się rozwalić chciały kieszenie cagowych spodni — wskoczył tedy Antek na rusztowanie i jak nie zaczął gadać: że wyzysk, że tyrania, że zbrodnie kapitalizmu, że trzeba masą pokazać swą siłę...

Pięknie mówił, wprost z samego serca i porwał tym tak słuchaczy, że nie dostrzegali nawet, że drzwi do wykończalni otwarły się cicho i w obramowa-

waniu witraży zamajaczyła ciężka dłoń fabrykanta.

— Skończyłeś już? — Głos szefa był cichy i wybitnie łagodny. — Skończyłeś? To chodź bracie teraz ze mną, teraz ja ci powiem mówkę, ty hyclu jeden, bolszewiku przekłety.

Kiedy w pół godziny potem opuszczał fabrykę, rozgorączkowany i przynębiony długo jeszcze stał poza obrębem wysokich czerwonych murów, zapatrzo-ny w jasno oświetlone okna na 1-y piętrze, gdzie mieściła się tkalnica.

— Koniec — pomyślał tak spokojnie, że aż sam się zdziwił. — Koniec, nie mam pracy, za chwilę nie będę miał również domu, ani... Julki.

— Poczekaj, psi synu! — w oczach stała mu jak żywa czerwona, nalana twarz fabrykanta — poczekaj draniu przekłety, pożałujesz jeszcze gorzko swego draństwa, skur... synu zatracony.

Jakim cudem udało mu się zmylić czujność służby i wtargnąć do pałacu — nie potrafili opowiedzieć. Los mu jednak sprzyjał. Kiedy przyczajony za kotarą przeczekał rozejścia się służby i domowników do swych pokoi, w drzwiach apartamentu ujrzał jego.

Fabrykant nie przeczuwając nic złego, z rękami założonymi na plecach, z grubym cygarem w obwisłych wargach, przeszedł tuż obok kryjówki i wolno skierował się do swego gabinetu.

Miękki stuk zamykanych drzwi był Antkowi sygnałem.

Na palcach, bezszelestnie wsunął się do pokoju. Pierwsze co go uderzyło w oczy, to gruby fabrykant manipulujący coś przy aparacie radiowym i ciężka statuetka Laokoona z brązu.

Przerażliwie wykrzywiona bólem twarz nieszczęsnego ojca, walczącego daremnie w splotach potwornego wężowego cielska — nasunęła mu bolesne analogie. Ten mityczny starzec, walczący rozpaczliwie o życie swoich dzieci z potworem, stał mu się dziwnie zrozumiałym i bliskim. Wyciągnął rękę, chcąc pod palcami wyczuć śmiertelny skurcz muskułów walczącego i jego bólem ściągnięte rysy. I kiedy potem na sali sądowej prokurator w dramatycznej mowie dowodził morderstwa z premedytacją, Antek kręcił rozpaczliwie głową na znak przeczenia i zbiełalymi wargami wołał, że to nieprawda.

Przecież on tylko chciał dotknąć posążek, wyczuć pod palcami w swej twardej robociarskiej dłoni czyjś obcy przegromny ból. Zagubić się, zatrać w tamtej cudzej rozpacz...

Bogaty kunszt prokuratorskiej mowy przerwał naraz czyjś cichy, kobiecy szloch.

To zapłakała Julka po swym ogromnym utraconym szczęściu.

Okręgowy Urząd Likwidacyjny w Łodzi

WYDZIAŁ OGÓLNY

Oddział Osob. Administr.

L. I. Og. 1. O. A. 1/105/40/46.

Komunikat

Okręgowy Urząd Likwidacyjny w Łodzi podaje do wiadomości, że w dniu 2 listopada r. b. Kancelaria O. U. L. nie będzie sprzedawała druków jak również nie będzie przyjmowała wniosków w sprawach sprzedaży ruchomości opuszczonych i poniemieckich.

Od dnia 4 do 30 listopada r. b. włącznie, sprzedaż druków jak również przyjmowanie wniosków na nabycie ruchomości odbywać się będzie w dni powszednie z wyjątkiem sobót w godzinach od 15 do 19-ej.

(—) Stanisław Dowbór
Dyrektor Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego.



Pamięci Ignacego Daszyńskiego

W 10-tą rocznicę Jego zgonu

Są ludzie — Tytani, którzy zamknawszy oczy na sen wieczny, nie przestają żyć w pamięci potomnych.

Do nich należy Ignacy Daszyński, Wielki Trybun Ludowy, Niestrudzony Wódz Polskiej Partii Socjalistycznej.

Wśród nawału prac, zajęć i trudów poselskich, organizacyjnych i innych tow. Daszyński nie pominął palącej sprawy wyzwolenia kobiet z wiekowych przesądów i niesprawiedliwości.

W początkach XX stulecia, gdy w b. zarborze rosyjskim rozgorzała rewolucja, parlament wiedeński pod naciskiem socjalistów uchwalił ustawę o 8-miogodzinnym czasie pracy i powszechnym prawie wyborczym.

Niemalą w tym była zasługa posła do parlamentu wiedeńskiego tow. Ignacego Daszyńskiego, najświetniejszego podówczas mówcy, przedstawiciela uciśnionej klasy pracującej. Powszechne prawo wyborcze nie miało zastosowania do kobiet. Zostały one nadal pozbawione czynnych i biernych praw wyborczych i ograniczone w prawach obywatelskich.

Dlatego grono towarzyszek, przebywających podówczas w Krakowie postanowiło ująć te sprawy w swoje ręce i w tym celu powołać pod sztandary PPS masy kobiet pracujących. Projekt poparł swym autorytetem tow. Ignacy Daszyński, czołowy działacz organizacji krakowskiej. Na rzuczone wezwanie robotnice krakowskie odpowiedziały entuzjastycznym zapalem i pełną wytrwałości pracą. Zorganizowano zebranie, na którym roztrząsane było położenie kobiet i wyrażone zostało przekonanie, że PPS. jest najlepszą orędowniczką praw kobiet, w imię interesów całej klasy pracującej. W zebraniu wziął udział tow. Ignacy Daszyński. W przemówieniu nie tail On trudności, jakie czekają kobiety ruch socjalistyczny. Wskazywał na liczne przeszkody wynikające z psychiki mężczyzn i kobiet, na hamulce obyczajowo-gospodarczej natury. Zachęcał w imieniu Partii do podjęcia w jej ramach zamierzonej pracy i prowadzenia jej z wytrwałością i rzetelnością.

Wkrótce podczas wyborów do parlamen-

tu towarzyszek zorganizowane potrafiły zjednać dla agitacji wyborczej mnóstwo robotnic i robotników, stojących dotąd na uboczu. Same pozbawione praw, nawoływały mężczyzn do wykorzystania przysługujących im od niedawna praw wyborczych i masowego oddania głosów na kandydatów-socjalistów.

Wybory przy masowym udziale kobiet w akcji wyborczej dały świetne rezultaty. Uwielbiany i podziwiany Ignacy Daszyński został wybrany olbrzymią większością głosów w 2-ch okręgach. Miasto Kraków dumne było, że zatrzymał mandat i przedstawicielstwo klasy pracującej tego miasta.

Na olbrzymim zgromadzeniu w „Dniu Kobiet” tow. poseł Ignacy Daszyński w swym, jak zwykle świetnym przemówieniu wyraził swe głębokie uznanie dla pełnej zapалу pracy kobiet. Przypomniat zebrany, że Socjalizm głosi, iż bez czynnego, masowego udziału kobiet niema zwycięstwa żadnej wielkiej idei powszechnej, a więc i Socjalizmu. Zapewnił, że partia i on sam, gdy nadejdzie chwila, bezwzględnie i kategorycznie zrównają prawa kobiet z prawami mężczyzn.

Spełnił tę obietnicę, gdy stanął w listopadzie 1918 roku na czele Rządu Ludowego wskrzeszonej Polski. Manifest Rządu Ludowego zapewnił kobietom raz na zawsze równe prawa.

Równe prawa nakładają równe obowiązki ogólnej natury a jednocześnie ułatwiają młodemu pokoleniu młodych kobiet dalsze zdobycie równych praw w domu i w rodzinie, w fabrykach i wszystkich zakładach pracy.

Składając dziś hołd pamięci tow. Daszyńskiego w 10 rocznicę Jego śmierci kobiety nie zapomną, że są w społeczeństwie wielką liczbą i że stać się muszą również wielką siłą, by razem wyrwać i solidarnie osiągnąć te zdobycze o które tow. Ignacy Daszyński walczył, całe życie nawołując masy kobiet i mężczyzn pracujących do czynu pod czerwonymi sztandarami PPS.

Stanisława Woszczyńska.

Społeczna akcja wychowania młodzieży

Trudne warunki powojenne wpływają hamująco na naturalny rozwój kulturalny społeczeństwa. Jeżeli społeczeństwo starsze potrafi jeszcze utrzymać się w granicach określonych przez wymogi kultury i wychowania, to młodzież pozbawiona szkoły w okresie wojny lekceważy sobie zupełnie nawet najbardziej prymitywne wskazania grzeczności wobec otoczenia.

Wystarczy przejść się po mieście by na każdym kroku ujrzeć tego dowody. A więc przysłowiowa już „grzeczność” młodzieży, i niestety nie tylko młodzieży w tramwajach, dalej zachowanie się publiczności w kinach czy teatrach, na akademiach i wszelkich imprezach publicznych — słowem tomy możnaby było napisać na ten temat. Jak do tej pory nikt sprawy tej nie poruszył poważnie, nikt nie zastanowił się nad skutkami podobnego ustosunkowania się społeczeństwa wobec siebie, jedynie satyrycy tu i owdzie wytykają złośliwie na sze grzeszki przeciwko pojęciu grzeczności i kultury, że jak do tej pory skutek tego jest prawie, że minimalny.

Nadal w tramwajach na ławkach rozsiedają się młodzieńcy, dobrane odzywiani „panowie” lub chłopcy w uczniowskich czapkach pomimo, że kobiety starszki lub chore ślaniają się obok nich ze zmęczenia, wsparcie na poręczach przez nich zajętych ławek lub foteli. Nadal w kinach, w najbardziej dramatycznych momentach, rozlegają się gwizdy lub cmokania, a często i komentarze nie nadające się do powtarzania, nadal bezmyślność i głupota zatrauwa ludziom, jakiej takiej kultury, każdy spacer, każdą drogę do pracy, każdą chwilę rozrywki.

Z tem należałoby stanowczo i definitywnie skończyć. Położyć kres wreszcie chamstwu i tępotie niewychowanych jednostek w sposób energiczny i zorganizowany. W akcji tej, uzgodnionej z władzami Miejskimi, powinna wziąć udział przede wszystkim Liga Kobiet, jako organizacja społeczna czuwająca nad utrzymaniem odpowiedniego pionu wychowawczego nie tylko wśród kobiet, ale poprzez kobiety właśnie wśród całego społeczeństwa.

Gdyby członkinie Ligi Kobiet, mające po parcie władz, patrolowały, że się tak wyrażę miasto, na każdym odcinku jego życia, zwracając baczną uwagę na zachowanie się zwłaszcza młodzieży i wyciągając konsekwencje z każdego niewłaściwego jej kroku, nie mielibyśmy napewno prawa do tak częstych narzekań czy zgorszeń. Młodzież bowiem, jeśli dziś razi nas swym brakiem taktu, to jedynie właśnie, z winy społeczeństwa starszego, które nie reagując odpowiednio na niewłaściwości w jej zachowaniu upoważnia ją tym samym do dalszych ekstrawagancji.

Tę społeczną akcję wychowawczą powinny podjąć właśnie kobiety.

H. Majewska

Kob.ety! wstępujcie w szeregi P. P. S.!

Wyginęli na wojnie

Wojna przynosi w skutkach ogólną demoralizację. Jest to stara prawda, która po każdej wojnie znajduje nowe potwierdzenia. Nie ma przestępstw wojennych, które w normalnych czasach traktowane bezwzględnie, znajdują po wojnie orędownika w minionych potwornościach. Jest to bardzo wygodne tłumaczenie i tak sprawiedliwe, że bez obawy można stanąć w kolizji z kodeksem karnym. Wystarczy przybrać minę człowieka zdemoralizowanego, mieć dobrego obrońcę i wyrok wypadnie łagodny.

To są przestępstwa „grubsze”.

Są jednak przestępstwa „drobne”, w które nie wkracza kodeks karny. Przekraczane prawa są w tym wypadku przepisami dobrego wychowania i kultury życia codziennego w dziedzinie współżycia z ludźmi.

W tej dziedzinie życia wojna poczyniła straszne spustoszenia. Tak fatalnie zmaltretowała biednych ludzi, że na palcach można policzyć niedobitków.

To spustoszenie dotyczy mężczyzn.

To spustoszenie dotyczy UPRZEJMÝCH mężczyzn, zarozumiali panowie! Panowie powiadają, że demoralizacja dosięga przede wszystkim kobiet, a dzieje się to dlatego, że kobieta jest z gruntu niemoralna. Prawdopodobnie jest to wynik jej cośkolwiek późniejszego zjawienia się na świat, a powszechnie wiadomo skąd się znalazła i co jest jej „gruntem” powstania, co przy każdej okazji panowie z zachwytem powtarzają.

Tym razem nie chodzi nam jednak o moralność.

Mówimy o demoralizacji.

Jednym z objawów tego zjawiska w życiu codziennym jest zbyt ni szacunek, jaki mężczyźni oddają sami sobie, na skutek tego, że w wyniku wojny zostało ich bardzo mało i cenią się jako towar rzadki a więc pokupny bez względu na wartość. Taki ocalały z pożogi wojennej pan idzie środkiem chodnika i trzeba go wymijać, żeby nie trafić w łokcie, które potrafią wyrzucić z chodnika. Taki pan jak wchodzi do tramwaju, to toruje sobie drogę na kształt czołgu, depcząc wszelkie przeszkody w postaci znajdujących się na drodze kobiet. Taki pan zajmuje miejsce nie zwracając uwagi na to, że za

Wartości artystyczne filmu francuskiego

Najrozmaitsze refleksje przychodzą na myśl, gdy oglądamy film najnowszej produkcji francuskiej pt. „Skarb rodziny Goupi”. Gdybyśmy mieli osądzić naród francuski na podstawie sztuki i literatury przezeń wydanej, to musielibyśmy dojść do wniosku, że podstawową cechą Francuzów jest fantastyczne wprost skąpstwo i pracowitość. Film ten jest przeróbką powieści Piotra Véry, a podobnego zdania o Francuzach jest również pisarz Francji Franciszek Mauriac.

Rzeczywiście ciężkie i trudne jest życie wieśniaczej rodziny Goupi, która stanowi jakby średniowieczny klan rządzący się swymi prawami i zwyczajami. Rodzina ta, to zbiorowisko starych i młodych, zdrowych i ułomnych krewniaków, mieszkających razem, znających swe słabości i oszustwa i wygrywających przeciw sobie różne swary i kłótnie. Rodzina ta, to groźna całość, potężna w swej spistości rodzinnej.

Motywyem ich życia jest odnalezienie skarbu ukrytego przez stojącego nad grobem, lecz jakże zaciętego w swym milczeniu dziadka, najstarszego członka rodziny.

Z tej skromnej kanwy treściowej reżyser Becker stworzył istne arcydzieło, które jest dalszym ciągiem doskonałych tradycji awangardowej kinematografii francuskiej.

Atmosfera grozy i niepewności nie odstępowała od nas ani na chwilę. Już pierwsze sceny wprowadzają nas w nastrój, który nie opuści nas do końca i który jest charakterystyczny dla tego ciekawego filmu. Dzięki dyskretnym grze światła i cieni inscenizator wygrał wspaniale wszelkie niedomówienia treściowe. Film jest ponury, tą ponu-

rością zła, zakłamania i zawiści, za którą czai się pieniądź i zbrodnia.

W filmie tym zastosowano cały szereg efektów wizualnych i różnych tricków wprowadzających widza w błąd, jak np. strzelanie do tarczy, które każe nam się domyślać zbrodni itp.

Ilustracja dźwiękowa doskonała. Muzyka została na ogół wyeliminowana, a jeśli występuje to jedynie dla podkreślenia grozy.

Myślą przewodnią filmu jest uzasadnienie przywiązania chłopca do pieniądza, który chłopiec ceni bałwochwalczo, gdyż jest on synonimem pracy. Różnymi drogami można było dojść do uwypuklenia tej starej prawdy. Francuski reżyser podał nam ją w sposób dość ekscentryczny i sensacyjny. Film ten powinien zobaczyć każdy, kto lubi filmy niebanalne, w których groteska jest często na granicy tragedii.

Baranowska.

SALATKA Z BIAŁEJ KAPUSTY

Główkę świeżej kapusty zagotować w słonej wodzie przez 3 minuty. Odcisnąć, posiekać drobno. Dodać oliwy, octu, soli, cukru, pieprzu, korniszonów, grzybów marynowanych. Dobrze wymieszać. Dla podniesienia smaku można dodać kwaśnej śmietany, lub żółtko utarte z oliwą.

PASZTET Z WĄTROBY

1/2 kg wątroby gotowanej, 1/2 kg gotowanych kartofli, 1 cebula drobno pokrojona przysmarzona na boczku wędzonym. Wszystko przepuścić przez maszynkę, dodać sól, pieprz, 2 jajka, dobrze wymieszać i upiec w formie posypanej tartą bułeczką.

nim wchodzi kobieta z dzieckiem na rękę i staje obok. Co go to obchodzi? Niech stoi — odpocznie skacząc przy gospodarstwie domowym.

A młode, świeżo upieczone studentki! To są rarytasy!

Taki patrzy uważnie w okno obserwując miasto, bo właśnie przyjechał z Grajdolka i zwiedza Łódź. Ponieważ naczał się dosyć o opiece, jaką cieszą się powszechnie studenci, uważa, że miejsce w tramwaju jemu się też należy bez względu na to, czy obok stoi starsza pani czy kobieta ciężarna, bo on jest studentem. I patrzy taki i in-

ny typ na to, jak kalece o kulach ustępują miejsce starsza kobieta i widzi, że do tramwaju wprowadzają chorą. On, jeden, drugi, trzeci siedzą. Niewzruszeni jak kury na grzędach.

I rację miała ta kobieta, która w przepełnionym tramwaju powiedziała do starszej pani wyrażającej żale nad zanikiem uprzejmości u mężczyzn: „Co pani, gentelmena szuka? Już ich nie ma — wyginęli na wojnie”.

Trzeba poczekać aż się nowi urodzą i wychowają w specjalnych szkołach. Gratuluję Wam, Panowie!

ZO—TA.

Prenumerata „Pobudki” (wraz z odnoszeniem do domu) miesięcznie zł 12, kwartalnie zł 35.

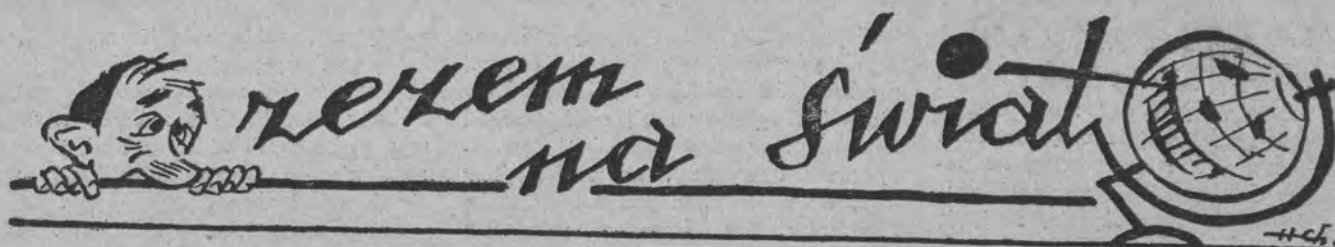
CENY OGŁOSZEŃ. Drobnie: za wyraz petitowy poza tekstem 5 zł. Inne ogłoszenia: za milimetr — szpalta poza tekstem zł 14.—, w tekście zł 21.—

Redagują: St. Juszczyk, G. Timofiejew, H. Wachowicz

Wydaje Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 68, front II p., tel. 112-54. Godziny przyjęć 12-13. Rękopisów nie zwraca się. Administracja: Łódź, St. Jaracza 45 tel. 141-47. Skrytka pocztowa nr. 7. D-06422

Odbito w Druk. „Czytelnika” w Łodzi, Żwirki 2.



List do ob. cenzora

Obywatelu cenzorze!... Ja naprawdę już dłużej nie mogę, bo to przecież i ze szkodą dla bezpieczeństwa publicznego, i Kazia Grusa by zamknęli i wogóle... no i dlatego piszę ten list.

Ale zacznę od początku. Zaczęło się więc tak:

Z Kaziem Grusem (obywatel wie, to ten — co rysuje takie nieprzyzwoite obrazki) poszliśmy na wódkę. No, bo to Kazio honorarium podjął, a on to już tak zawsze: są forsiaki — to wódka też. I gdy już wypiliśmy parę wódek, to przyszedł do nas, uważa obywatel, taki mały chłopak (mówił, że ma 11 lat, ale był brudny, jakby dwadzieścia lat się nie mył) i korzystając z naszego zamroczenia — sprzedał nam jakieś dwa zbiorki piosenek. Wydane teraz, w Łodzi, w 1946 r. W jednym to były takie piosenki jak „Nieszczęsne dni Sodomy”, „tragedia matki”, „nigdy nie przestanę kochać cię”... a w drugim — „piosenka marynarzy”, „chciał już ucichły tanki i armaty”, „Hij, Polaku, Niemca”, „dla Ciebie, Kraju!” i jeszcze inne też.

No i jak to kupiliśmy, to ponieważ uważamy, że jeśli coś się kupuje — to trzeba wykorzystać, zaczęliśmy śpiewać. Najpierw pocichutku, mruczando, a potem ogarnął nas taki zapal, że uważa obywatel, zapomnieliśmy się rzeczwiście z lekka i zaczęliśmy śpiewać

zbyt głośno. Szczególnie Kazio. Ale to przecież jest zrozumiałe, no, bo porwały nas te piosenki. Naprawdę!...

Przecież obywatel, czytał te utwory, cenzurując je, ale ja pozwolę sobie przypomnieć jeden wyjątek:

„Dla Ciebie Kraju i dla Twojej chwały
Stanie w szeregu ojciec i syn,
stanie w szeregu naród nasz cały,
ludzie od młota, rzemiosł, fabryk i gmin.
I znów zdziwimy świat naszym męstwem,
gdy przyjdzie iść nam w Mieszkowy ślad.

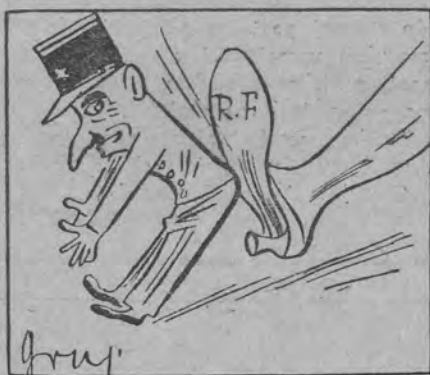
Hańbę zmyjemy naszym zwycięstwem,
lecz wtedy musy nastać inny ład.”

I właśnie o ten urywek przyczepiono się do nas. I dlaczego?... Czy oni mieli słuszość, obywatelu cenzorze?... Przecież jeśli obywatel to ocenzurował — to wolno śpiewać, nieprawda?... Więc jak?... Bo ci obywatele z milicji — to mówili, że my (tzn. ja i Kazio) to czarna reakcja, że chcemy wprowadzać jakiś nowy ład i ten Mieszkowy ślad... Przez całą godzinę, uważa obywatel, musieliśmy się tłumaczyć. Legitymacje partyjne i zawodowe pokazywaliśmy. Ja nawet pokazałem świadectwo szczepienia ospy, a oni furt i furt — że reakcja... No i co na takich?... Czy to sprawiedliwie?... Dopiero, gdy pokazałem im zbiorek tych piosenek — wtedy dali nam

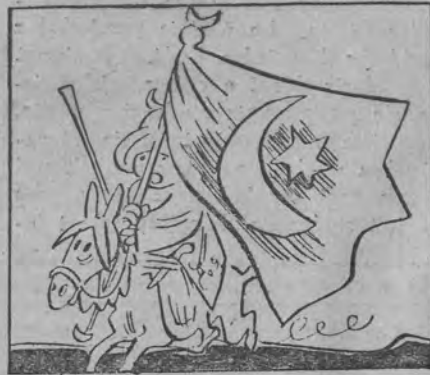
spokój. Ale po pięćdziesiąt złotych za zakłócenie spokoju publicznego musieliśmy zapłacić.

No i teraz chcieliśmy podziękować panu, obywatelu cenzorze, że obywatel uratował nas od grubszej awantury, ale obywatelu... Te inne piosenki, to trzeba było jednak przekreślić czerwonym ołówkiem. Ja już nie mówię o punkcie d. artykułu 2. dekretu z dnia 5 lipca 1946 r. („Dziennik Ustaw” nr 34), w wypadku tej marynarskiej piosenki z „majtkami” i księżniczką, ale właśnie pod ten punkt, pod „naruszenie dobrych obyczajów” podpadają całe te zbiorki, gdyż język, w jakim są pisane, poziom tej „poezji” jest nie tylko naruszeniem, ale przekroczeniem dobrych obyczajów, jakie w pisanym słowie w Polsce panują. Naprawdę obywatelu, cenzorze... Przecież taka zwrotka: „u twych nóg ja składam Ci swą miłość z róż. Cóż Ci w życiu pozostało, co? Tylko Twoje oczy mają dziwny prąd, czerwone usteczka i Twe włosy blond”... — to może człowieka do szalu doprowadzić. I dobrze, że Kazio był wtedy ze mną, to mnie trochę mitygował. Bo gdybym był z kim innym, to nie wiem, co by zrobił po przejrzeniu tych piosenek. Oszalałbym chyba...

marek



Zegnany po wiele razy
wraca de Gaulle bez urazy.
Ano, tą i gdzie cię nie proszą
później — kijem cię wynoszą.



Wśród wiernych Allaha kipi:
pojawił się derwisz z Ipi.
A że świat nasz zgłupiał całkiem,
będą nowe pierepalki.



Wiodłaby żywot anielski,
gdyby nie bies dardaneński.
Czy jej młó czy nie młó —
musi dać się pchać od tyłu.